

# WEZEŁ BAŁKAŃSKI

red. Stefan Wilkanowicz, Jan Piekło



## - Wybór tekstów -

### I. KRAJOBRAZY I LUDZIE

|  |    |
|--|----|
| Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (I) - Belgrad.....       | 2  |
| Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (II) - Zagrzeb.....      | 7  |
| Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (III) - Sarajewo.....    | 11 |
| Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (IV) - Brčko.....        | 15 |
| Stefan Wilkanowicz, Sarajewo, niedziela po południu..... | 19 |
| Stefan Wilkanowicz, Szkoła dla Europy.....               | 22 |
| Martin Bell, Dziennikarz - świadek nienawiści.....       | 24 |

### II. REFLEKSJE I POSZUKIWANIA

|   |    |
|---|----|
| Jan Piekło, Syndrom bałkański - nacjonalizmy i media.....     | 30 |
| Urs Altermatt, Sarajewo nie jest odosobnionym przypadkiem.... | 37 |
| Adnan Silajdžić, Islam, Bośnia i dylematy współczesności..... | 39 |
| Jan Paweł II, Odwaga i przebaczenie.....                      | 49 |

### III. ANEKS

|   |    |
|---|----|
| Kalendarium konfliktu na Bałkanach..... | 51 |
| Noty o Autorach.....                    | 55 |

# KRAJOBRAZY I LUDZIE

## Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (I) - Belgrad



Jest rok 2002. Ivan D., Serb, mieszkaniec Belgradu, udaje się do Paryża. Automatyczna bramka na granicy przepuszcza obywateli Unii Europejskiej wczytując kod ich karty identyfikacyjnej wsuwanej w przeznaczoną do tego szczelinę. Ivana D. bramka nie przepuszcza. Specjalny sygnał kieruje go do pomieszczenia, w którym znużony urzędnik kwestionuje wieziony przez Ivana D. dla mieszkających w Paryżu przyjaciół macedoński ser i suszone mięso.

- To są towary zabronione, produkowane niezgodnie ze standardami Unii - mówi zrezygnowanemu Serbowi europejski urzędnik.

### Utracona szansa

Ta niekoniecznie fantastyczna historia znajdzie się w książce "Zapiski z przyszłości", nad którą właśnie profesor Ivan D., mieszkający w Belgradzie międzynarodowy ekspert w dziedzinie promieniowania, pracuje. Opowiada o tym z lekką autoironią, z której przebija żal za szansą, którą Jugosławia bezpowrotnie utraciła, kiedy poddała się etniczemu szaleństwu. Jeszcze Jugosławia post-titowska, ze zbudowaną za zagraniczne pieniądze infrastrukturą, z nieskrępowaną dogmatycznym gorsetem gospodarką, otwarta na wpływy Zachodu bardziej niż inne kraje komunistyczne, której obywatele mogli trzymać paszporty w szufladzie, mogła być pierwszym w kolejce postkomunistycznym krajem kwalifikującym się do przyjęcia do Unii Europejskiej. Mieszkańcy Belgradu - stołecznej metropolii byłej Federacji - odczuwają z tego powodu frustrację i smutek. Niektórzy czują się przez Europę i świat upokorzeni. Nie da się jednak cofnąć czasu, który zamroził ich kraj w ekonomicznej blokadzie, zdewastował morale i gospodarkę, zasiał w umysłach nienawiść. Powoli nadchodzi czas refleksji - rachunku strat.



Serbskie wesele, Szabac,  
14 maja 1994  
Fot. Robert Urbański

Dzisiejszy Belgrad nie jest już stolicą potężnej Federacji, ale tylko stolicą tzw. Nowej Jugosławii, państwa umieszczonego teraz gdzieś na obrzeżach cywilizowanego świata, którego obywatele muszą uzyskać wizy, kiedy chcą odwiedzić jeden z krajów Europy. Na międzynarodowym lotnisku sporadycznie lądują zagraniczne samoloty. Zagraniczny wielki kapitał omija szerokim łukiem Serbię i Czarnogórę, a rodzimy powiązany jest z rządzącą partią i grupami interesu, które wzbogaciły się na wojnie.

- Nie zmieniło się wiele - mówi z ironią Duszan Kovaczević, wybitny serbski dramaturg, autor scenariusza do sławnego filmu Emira Kusturicy "Underground"  
- starzy komuniści stali się teraz kapitalistycznymi zarządcami. Pracują teraz dla

mafii zamiast dla partii. Belgrad przypomina dziś Chicago z czasów Ala Capone. Przeminięły euforia i nadzieja towarzyszące ostatnim demonstracjom ulicznym, kiedy tysiące mieszkańców stolicy waląc w garnki, dmąc w gwizdki, rzucając jajkami czy stojąc w milczeniu protestowały przeciw sfałszowaniu wyników wyborów lokalnych. Slobodan Miloszević z łatwością został prezydentem okaleczonej federacji Nowej Jugosławii. Zoran Džindžić jest dziś burmistrzem Belgradu, ale niewiele z tego wynika (może poza faktem, że ulice Belgradu bywają sprzątane). Targana ambicjonalnymi sporami swoich liderów opozycyjna koalicja "Zajedno" nie potrafi działać wspólnie. Apatia i zrezygnowanie pustoszą ludzkie umysły, negując sens jakichkolwiek prospołecznych działań.

## Wojna o media



**Sprzedż narodowych serbskich pamiątek, ul. Kneza Michajla w Belgradzie, maj 1994  
Fot. Robert Urbański**

Na ekranie starego hotelowego telewizora o spłowiałych barwach brzydka spikerka ubrana w stylu lat 80. odmienia przez przypadki słowo-klucz, najświętsze dla twórców nacjonalizmu słowo: "Serbija". Potem pojawia się uśmiechnięty "presjednik" Slobodan Miloszević, który ściska dłonie ludzi w Kragujevcu, Užicach, Niszu, Szabcu. Rozmawia z nimi, całuje w główkę lnianowłosego chłopczyka. Ciąg zdarzeń nasycony jest tą samą treścią, znaną mi z czasów wojny.

W Serbii trwa walka o media. Kto kontroluje media, ten rządzi krajem. Monopol na informację został w Belgradzie w zasadzie złamany. W licznych kioskach leżą nowe tytuły - niezależne dzienniki "Nasza Borba", "Blic", "Demokratija", "Dnevni Telegraf". Można tam kupić także "nieco wczorajszą" prasę zagraniczną - "International Herald Tribune" czy "Le Monde" oraz chorwacki opozycyjny tygodnik o satyrycznym profilu "Feral Tribune". Funkcjonuje niezależna agencja informacyjna "Beta". Nadaje owiane już legendą Radio B-92 oraz podległa władzom miejskim Belgradu stacja telewizyjna Studio B. Gorzej jest na prowincji, gdzie wciąż dominującą pozycję ma RTS - państwowa serbska telewizja.

W połowie marca tego roku nowo mianowana minister informacji Republiki Serbii Radmila Milentijević podała do publicznej wiadomości przygotowany przez jej resort projekt nowego prawa prasowego. Wszystkie opozycyjne partie skrytykowały ten dokument, twierdząc zgodnie, że przyjęcie go stanowiłoby krok jeszcze bardziej oddalający Serbię od demokratycznego świata. Projekt proponował między innymi zapis, by prywatne media elektroniczne nie mogły obejmować swoim zasięgiem więcej niż 25% całego terytorium Serbii oraz nakazywał wszystkim gazetom otrzymującym finansowe czy techniczne wsparcie z zagranicy ujawnienie tych źródeł na swoich łamach.

Podczas rozmowy w gabinecie Ministerstwa Informacji poprosiłem Radmilę Milentijević o kopię kontrowersyjnego projektu. Pani minister zachnęła się: "O, to jest niedobry i już nieaktualny projekt". Obiecała przesłać gotową nową wersję, na którą wciąż czekam. Opowiedziała także o swoich nowych zamierzeniach mających na celu zmuszenie dwóch istniejących w Serbii stowarzyszeń dziennikarskich: Stowarzyszenia Dziennikarzy Serbii i Niezależnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Serbii, do opracowania wspólnego

kodeksu etycznego. Służyć temu miałyby właśnie organizowane przez nią spotkanie, na które zamierzała zaprosić przedstawicieli obu organizacji. Niestety, sytuacja, w której władza inicjuje powstanie etycznych podwalin dziennikarstwa, nie wróży najlepiej na przyszłość.

W wywiadzie dla "Naszej Borby" Radmila Milentijević wyraziła szczere przekonanie, że Slobodan Miloszević "jest całkowicie zdeterminowany, by prowadzić kraj w kierunku dalszej demokratyzacji" oraz że "Wolność mediów jednakże nie jest u nas ograniczona do takiego stopnia, jak się powszechnie uważa w świecie" (po wizycie w Chorwacji rzeczywiście można się z tym sformułowaniem zgodzić), a serbska prasa posiada "całkowitą wolność", podczas gdy sytuacja w mediach elektronicznych "pozostaje nieco inna". Radmila Milentijević nie ma dobrych notowań u dziennikarzy, z którymi rozmawiałem. Sporą część swojego życia spędziła, podobnie jak były premier Milan Panić, w Stanach Zjednoczonych. Złośliwi utrzymują, że często jako argumentu używa odniesienia do swoich amerykańskich doświadczeń mawiając: "U nas w Ameryce". Jedna z gazet napisała: "u was w Ameryce ona z pewnością nie zostałaby ministrem informacji". Pani Milentijević uważana jest za człowieka Miloszevicia. Znalazła się w składzie gabinetu Panicia i jej wyjście z rządu wraz z grupą ludzi przesądziło o jego upadku.

W prasie rządowej karierę zrobiło ostatnio słowo "rewanżyzm". Także Stowarzyszenie Dziennikarzy Serbii wystąpiło z żądaniem "ochrony dziennikarzy przeciw rewanżyzmowi". Rzeczą dotyczyła ostatnich wyborów i przejęcia przez opozycję władzy na szczeblu lokalnym w kilku miastach Serbii, co miało pociągnąć za sobą masowe zwolnienia dziennikarzy miejscowych mediów. Według anglojęzycznego miesięcznika "News on Media" wydawanego przez sponsorowane przez Sorosa i EU Media Center w Belgradzie nie było podstaw do takich stwierdzeń, a informacje, że np. w RTV w Kragujevcu zwolniono 46 osób, okazały się nieprawdziwe.

Opozycja, podobnie jak rządzący, pragnęłyby podporządkować sobie media. Sasza Mirković, dyrektor Radia B-92, opowiada o swoich kłopotach z nowymi władzami miasta, które zamierzały ubrać popularną belgradzką stację w politykę. Sasa jest zapraszany na kongresy i spotkania opozycji bynajmniej nie w charakterze dziennikarza. Niejednemu by to pochlebiło i dałby się namówić - Mirković się nie dał. Woli "robić swoje radio", chodzić w dzinsach i trampkach oraz gnieździć się w zadymionych i ciasnych pokojach studia B-92 przy ul. Makedonskiej. Na drzwiach jego gabinetu widnieje wielki napis: "No Hate Zone" - "Strefa wolna od nienawiści". I to, że w Belgradzie są takie miejsca, napawa optymizmem.

Równie optymistycznie nastraja rozmowa z Vesną Vujić, przewodniczącą Niezależnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Serbii, która opowiada o kursie zorganizowanym w Kalmarze przez szwedzki instytut kształcenia dziennikarzy FOJO. Zaproszono nań reporterów i redaktorów z różnych republik byłej Jugosławii. Nareszcie mieli możliwość porozmawiania. Nieważny był dla nich program kursu; nie spali w nocy, by móc w zadymionym pokoiku tylko gadać ze sobą i gadać. Ponieważ dyskusji nie skończyli, postanowili w jesieni zorganizować wspólne spotkanie w Ohrid w Macedonii. Choć nacjonalistyczni politycy próbowali ich podzielić, jednak się nie udało.

## Trudne patrzeć w przyszłość



**Zebrzące dziewczynki,  
Belgrad, maj 1994  
Fot. Robert Urbanski**

Serbowie czują się odcięci od świata. Są skoncentrowani na swoich problemach i rozliczaniu się z przeszłością, dziedzictwem Tity i wojną, która nakręciła spiralę historii.

- Rany krwawią, jadzą się... - tak powiedziała mi minister Radmila Milentijević.

- Media w dawnej Jugosławii przedstawiały piękną rzeczywistość - mówi Nebojsa Curčić, zastępca naczelnego prorożadowej "Polityki" - która nie istniała.

A ludzie w nią wierzyli. Ze śmiercią Tity wszystko zaczęło się sypać. Media nie przygotowały ludzi na podział Jugosławii. Potem zaczęło się najgorsze... Pokolenie 40-latków utraciło swój świat i nie może się odnaleźć. Belgradczycy są po słowiańsku serdeczni i gościnni; nieczęsto zdarza się im zapraszać do domu gości z zagranicy. Nad kieliszkiem macedońskiego wina czy serbskiej rakiji rozwiązują się języki.

- Macedonia to Serbia, podobnie jak Kosowo - mówi Borys, który razem z innymi studentami uczestniczył w ostatnich demonstracjach i nie wyobraża sobie możliwości oddania Kosowa Albańczykom. Przed posiłkiem Borys, praktykujący wyznawca prawosławia, odmawia modlitwę.

Pytam o przyszłość, czy możliwy jest jakikolwiek związek czy współpraca pomiędzy byłymi republikami Jugosławii - Serbią, Chorwacją, Bośnią...

- Potrafię myśleć tylko o Serbii - odpowiada matka Borysa. - Za dużo strasznych rzeczy się stało. Nie potrafię myśleć o całej Jugosławii.

- Może jakieś więzi ekonomiczne, może kiedyś... teraz jeszcze nie czas, nie jesteśmy do tego przygotowani - Borys kręci głową.



**Panorama Belgradu  
Fot. Jan Piekło**

Aleksa Džilas, syn sławnego dysydenta, niegdyś współpracownika Tity, Milovana Džilasa, jest również sceptyczny. Uważa jednak, że z utratą Kosowa należy się pogodzić. Chorwaci, jego zdaniem, czynią umizgi do Unii Europejskiej, gdyż chcą pokazać Serbom, że są od nich lepsi. Aleksa twierdzi, że należy popatrzeć realistycznie na układ z Dayton; aby zapobiec gwałtom, należy zgodzić się, by uchodzący zamiast wracać do swoich domów otrzymali odszkodowania. A proces jednoczenia się

Europy trzeba ujrzyć też z innej perspektywy - zintegrowana przeciwko komu...

W możliwość utworzenia w przyszłości rodzaju federacji byłych jugosłowiańskich republik wierzy Sasza Mirković, dyrektor Radia B-92. Takie rozwiązanie może kiedyś wymusić postępujący proces integracji europejskiej. Największym katastrofistą okazuje się dramaturg Duszan Kovaczević, który uważa, że NATO

musi trzymać wojsko w Bośni przez następne 20 lat, jeśli chce uniknąć wojny na Bałkanach.

W teatrze Zvezdara idzie jego nowa sztuka "Larry Thompson" pełna aluzji do obecnej sytuacji politycznej w Serbii. Widzowie biją brawo, gdy na scenie pojawia się podobny do "Slobo" aktor ubrany w charakterystyczną panterkę serbskiej milicji. Wylapują w mig - jak w czasach komunizmu wszyscy widzowie od Władywostoku po Łabę - każdą myśl, każdy sygnał autora. Kovacević jest powszechnie uważany za twórcę kultowego. Jego sławne zdanie ze sztuki "Radovan III": "Nie pozwól im się zabić, dopóki nie zwyciężymy", cytował nawet "The New York Times".

- On jest naszym sumieniem - powiedział dziennikarzowi tej gazety Boba Durović, dyrektor Belgradzkiego Teatru - choć nie wszyscy chcą tego słuchać. W czasach powszechnej gloryfikacji nacjonalizmów oraz korupcji sztuki i kultury krajów byłej Jugosławii pozycja Kovacevicia pozostaje niekwestionowana. Jego twórczość zmusza ludzi do myślenia w kategoriach prawd wielkich, krusząc krępujący ruchy upiorny kokon nacjonalizmów.

Nad zamkiem Kalamegdan, który niegdyś był turecką twierdzą, zachodzi słońce. Widać, jak nurtem Dunaju płynie barka. Przychodzą tu pary zakochanych. Całują się jak w milionach innych miejsc świata. Belgrad tętni życiem. W ogródkach przy kawiarenkach ludzie piją kawę lub belgradzkie piwo BIP. W kiosku na okładce magazynu "Mladina" rzuca się w oczy karykatura Miloszevicia i Tudjmana zastygniętych w pocałunku podobnym do tego ze sławnego zdjęcia, które obiegiło kiedyś cały świat a przedstawiało Honeckera wpijającego się w usta Breżniewa.

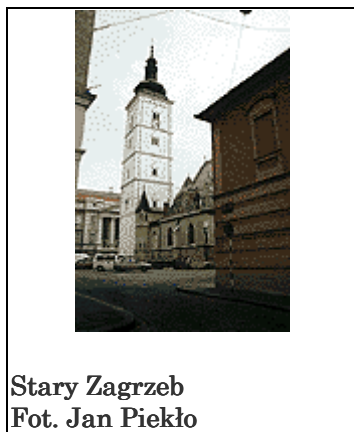
Przed cerkwią św. Marka siedzi żebrak bez nóg i w niemym geście wyciąga rękę po jałmużnę. Wewnątrz, w chłodnym półmroku młoda dziewczyna zapala dwie cienkie i długie świece - jedną za żywych, drugą za zmarłych; może tych najbliższych, którzy zginęli w czasie wojny. Ulicami kłębi się kolorowy tłum ludzi i odnosi się wrażenie, że jest w nim coś z potęgi żywiołu, którego żadna dyktatura nie da rady poskromić.

## Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (II) - Zagrzeb

Franjo Tudjman zapragnął raz na zawsze rozwiązać problemy Chorwacji z historią. Jego pomysł był naprawdę prosty - należało tylko zmieszać prochy ofiar chorwackiego faszyzmu zamordowanych w obozie koncentracyjnym w Jasenovcu z kośćmi ich oprawców - chorwackich ustaszy, którzy zginęli z rąk jugosłowiańskich partyzantów. Wyobrażał sobie zapewne wielką narodową uroczystość, czuł zapach kadzidła i słyszał patetyczne śpiewy chórów, a wiatr historii miał dodawać mu skrzydeł. Wydawany w Splicie niezależny tygodnik "chorwackich anarchistów, protestantów i heretyków" - "Feral Tribune" - nie zrozumiał jednak prostej idei prezydenta i wyszydził ją na swoich łamach. Władza zaskarżyła redakcję; w pierwszej instancji "Feral" wygrała. Władza odwołała się od wyroku do instancji wyżej. Zgodnie z przyjętym przez zdominowany przez rządzącą HDZ parlament prawem o specjalnej ochronie prezydenta i 4 innych najwyższych urzędników państwowych redaktorzy tygodnika powinni zostać ukarani za swój wybryk.

### Czas dinozaurów

Pozycja Tudjmana jest w Chorwacji nie do zakwestionowania. Prezydenckie wybory wygrał bez trudu. Z kolorowych, ogromnych plakatów wszędzie patrzyła jego twarz; w tle powiewała flaga z chorwacką szachownicą. W świadomości obywateli jest ojcem chorwackiej niepodległości i autorem zakończonej błyskawicznym militarnym sukcesem operacji zajęcia Krajiny, operacji, która wreszcie upokorzyła znienawidzonych agresorów - Serbów. Przed świętem niepodległości "Feral Tribune" opublikowało karykaturę prezydenta w jego białej, haftowanej złotą nitką generalskiej czapce; głowa Tudjmana wyrastała z tułowia dinozaura. W tej części świata zdawałoby się już wymarłe idee, jak w "Jurassic Park" przedpotopowe gady, ożywają na nowo.



Młode chorwackie państwo, jak niemowlę grzechotką, wciąż bawi się patriotycznymi rekwizytami i nacjonalistycznymi symbolami, nie mogąc się nacieszyć tym, co było w dawnej, titowskiej Jugosławii zakazane. Nawiązuje do jedynej tradycji (inne historyczne odniesienia trudno w Chorwacji znaleźć) - faszystowskiego państwa stworzonego na obszarze Chorwacji i Bośni przez Ante Pavelicia. Godnej oprawy władza szuka w katolickiej obrzędowości. Jak mówi Zrinka Vrabec-Mojzes, redaktor naczelna niezależnego Radia 101 w Zagrzebiu, "przefarbowani komuniści chodzą teraz razem ze starymi faszystami do kościoła".

Chorwacja na wojnie wygrała najwięcej; nie obłożona jak Serbia totalnym embargiem miała szansę na rozwinięcie gospodarki - wojna tylko nakręciła koniunkturę. Mając licznych i potężnych zachodnich popleczników nie została również, jak Serbia, wyklęta z rodziny europejskich narodów. Przez czas trwania wojny, właściwie chyba do wybuchu konfliktu chorwacko-muzułmańskiego, miała po swojej stronie sympatię opinii międzynarodowej.

Spacerując po Zagrzebiu odnosi się wrażenie, że ludziom niczego tu nie brakuje. Wystawy sklepowe wyglądają podobnie jak w Paryżu, Warszawie czy Londynie.

Można zjeść dobry obiad w meksykańskiej czy włoskiej restauracji, popijając go wybornym chorwackim winem. Można zamówić doskonały "szprycer" w nastrojowej kawiarence "Žabica" na Starówce. Taksówkarze nie próbują oszukiwać, w przeciwieństwie do ich kolegów z postaju na belgradzkim lotnisku. Wałęsając się po uliczkach wśród secesyjnych kamienic czuje się przynależność tego miejsca do kręgu środkowo-habsbursko-europejskiej kultury. Tylko w licznych kioskach nie można kupić zagranicznej prasy, a zrezygnowani ludzie obawiają się odpowiadać na niektóre pytania. W hotelu "Panorama" na ostatnim piętrze (żeby nie przeszkadzać gościom) wegetują uchodźcy z Bośni. Przed drzwiami stoją dziecięce wózki, a dziadkowie o charakterystycznym, pustym spojrzeniu, które dobrze pamiętam z ośrodka dla uchodźców w Zenicy czy Splicie, codziennie zasiadają w bezruchu w fotelach w hallu przy wejściu, jakby oczekiwali na dobrą nowinę wiedząc, że ona nigdy nie nadejdzie. Na drzwiach przy hotelowej windzie czyjaś ręka przykleiła klepsydrę informującą o pogrzebie prochów młodzieńca, który mając 28 lat poległ w roku 1992 w walkach w Osijeku (pewnie poszedł na front jako ochotnik, a pracował w tym hotelu). Prochy wielu nie zaznały jeszcze spokoju. Na ulicach widać mężczyzn, którzy lubią nosić mundury.

W konsulacie Bośni i Hercegowiny kłębi się tłum, uchodźcy wypełniają korytarze, odbierają świeżutkie paszporty z bośniackimi lilijkami na okładce. Ktoś awanturuje się; chce odwiedzić swoją rodzinę w Bośni i brakuje mu jakiegoś papierka.

W Zagrzebiu mieszka Ante Marković, ostatni premier dawnej Federacji, prowadzi teraz prywatną firmę. Namawiano go, by wrócił do polityki; nie chciał.

Wielu starszych ludzi, podobnie jak znajomy emerytowany profesor Instytutu Immunologii w Zagrzebiu, wciąż tęskni za dawną Jugosławią.

- Wtedy utrzymywaliśmy kontakty naukowe z całym światem - mówi profesor - teraz kisimy się we własnym sosie. Dzisiejszy Zagrzeb to już inne miasto; napływ uchodźców zmienił jego charakter.

- O co w tym wszystkim chodzi? - kręci siwą głową. - Telewizja podaje prognozę pogody dla Chorwacji i Bośni. A przecież Bośnia to odrębne państwo... W gazetach zaś piszą, że Chorwaci w Bośni wyrzucani są z pracy, a ich miejsca zajmują Muzułmanie...

Wtapiając się w tłum przechodniów na placu Bana Jelaczicia w centrum Zagrzebia zastanawiam się, czym ci ludzie różnią się od tych z ulic Belgradu. Chyba już wiem - wydają się smutniejsi, choć powodów do tego mają mniej niż Serbowie.

## **Wrogowie Chorwacji**

Chorwackie media są mniej zróżnicowane niż serbskie. Partia Tudjmana - HDZ - poczyną sobie bardziej bezceremonialnie niż socjaliści Miloszevicia, który krytykowany i naciskany przez Zachód nauczył się kluczyć i ustępować.





**Zagrzeb - zaułek Starego Miasta**  
**Fot. Jan Piekło**

- Politycy starają się skłócić środowisko dziennikarskie - mówi Jagoda Vukuszić, dziennikarka gazety "Novi List", "predsjednica", czyli przewodnicząca liczącego sobie około 2 800 członków Chorwackiego Stowarzyszenia Dziennikarzy - stwarzają konflikty, manipulują. Z ich inicjatywy dziennikarze rządowej telewizji utworzyli nowe Stowarzyszenie Dziennikarzy Chorwackich, a nas nazywa się wrogami Chorwacji.

Dziennikarzom udało się przeforsować swój opracowany przy pomocy zachodnioeuropejskich ekspertów i skrojony na miarę demokratycznego państwa projekt prawa prasowego, który został nawet przyjęty przez parlament. Cóż z tego, kiedy na mocy innej ustawy prawo wzięło pod specjalną opiekę prezydenta Tudjmana i 4 innych najwyższych urzędników państwowych blokując tym samym możliwość ich krytykowania.

Telewizję i radio kontroluje rząd. Lokalne stacje telewizyjne np. w Zagrzebiu, Osijeku, Splicie są prywatne, ale udziałowcy to działacze rządzącej HDZ. Wysokonakładowe gazety uprawiają dziennikarstwo żerujące na sensacji i niskich instynktach czytelnika. Współfinansowany przez Fundację Sorosa ambitnie redagowany nowy niezależny tygodnik "Tjednik" nie może się przebić na rynku. Opowiadający się od początku przeciw wojnie i za budową społeczeństwa obywatelskiego elitarny magazyn "Arkzin" dociera do ciągle tego samego wąskiego kręgu ludzi, których przekonywać do niczego już nie trzeba. Redaktorzy "Feral Tribune" mogliby w ogóle nie wychodzić z gmachu sądu. Swoje media zaczął także budować Kościół. Po długiej, biurokratycznej procedurze rozpoczęła nadawanie stacja katolicka, które ma objąć zasięgiem cały kraj. Dyrektor Radia, szef Stowarzyszenia Dziennikarzy Katolickich i jednocześnie prowincjał zakonu franciszkanów Mirko Matauszić pragnie wychować pokolenie dziennikarzy katolickich. W Chorwacji nie ma wolności słowa, a dziennikarze poddawani są politycznej presji. Jedni, zrezygnowani, akceptują to, aby przeżyć. Inni starają się walczyć.



**Zagrzeb - przed siedzibą ONZ, mur z cegieł opisanych nazwiskami poległych**  
**Fot. Jan Piekło**

Kiedy rząd usiłował odebrać częstotliwość Radiu 101, dziennikarzom popularnej zagrzebskiej stacji udało się wyprowadzić na ulice Zagrzebia 100 000 ludzi. Listy i faksy z protestami do władz spływały z całego świata. Władze ugięły się i odnowiły licencję.

- Obawiam się, że prawdziwe problemy dopiero się zaczną - komentuje Zrinka Vrabec-Mojzes, redaktor naczelna stacji, zawsze gotowa przyjąć wyzwanie.

Jest w ósmym miesiącu ciąży i modulując swój wspaniały, radiowy głos opowiada, że w roku 1989 właśnie Radio 101 jako pierwsze nadało wywiad z Franjo Tudjmanem, ówczesnym dysydem.

Zrinka nie boi się mówić. Krytykuje opozycję, która, podzielona, nie potrafi stworzyć politycznej przeciwwagi dla Tudjmana. Widzi rzeczy prosto - HDZ to oligarchiczna partia składająca się z komunistów i faszystów, których

zorganizował Tudjman. Razem sprywatyzowali media, przemysł i banki. Mają pieniądze i kontrolują wszystko... Modlą się teraz razem w kościele, używając religii jako instrumentu. Niektórzy księża, szczególnie na prowincji, dają się władzy wykorzystywać...

- Ludzie nie ufają już politykom - twierdzi Zrinka - chcieliby w nas widzieć siłę polityczną, antidotum na reżim. My zaś jesteśmy tylko dziennikarzami, którzy profesjonalnie wykonują swoje obowiązki... Slobodan Miloszević chytrzeź poczyną sobie z mediami w Serbii, zostawia więcej swobody. U nas Tudjman nie popuszcza...

Sasa Miloszević, dyrektor Open Society Institute, agendy Fundacji Sorosa w Zagrzebiu, wspomina z sentymentem sytuację jugosłowiańskich mediów w późnych latach 80.

- To była wielka, zmarnowana szansa - wzdycha, a na ścianie przed jego biurkiem wisi plakat Arkzinu.

Na plakacie ekologicznie wrażliwy ludzik wyrzuca do kosza hitlerowską swastykę razem ze znakiem ustaszy. "Czas oczyścić Chorwację ze śmieci" - głosi plakat.

## Wielkie wyzwanie



Tomislav jest młodym, byстрыm Chorwatem i pracuje w zagranicznej firmie.

- Czy możliwa jest jakaś forma powtórnego zjednoczenia krajów byłej Jugosławii? - pytam go zniennaćka.

Tomislav jest bardzo sceptyczny.

- Nie ma mowy o unii, federacji, to nie wchodzi w rachubę - odpowiada - no, możliwe by były jakieś luźne więzy ekonomiczne, ale trzeba to sprytnie politycznie rozegrać. Swoją drogą Bośnia bez Chorwacji nie da sobie rady. Tymczasem nie ma Bośni, jak i nie ma przestrzegania porozumień z Dayton. Zamiast Bośni są dwa państwa. Co będzie z tym dalej? Co wydarzy się w Kosowie? Nie wiem - myślę - nikt nie wie.

Vesna Janković, redaktorka "Arkzinu", porusza się po Zagrzebiu na rowerze. Zaparkować go łatwiej niż samochód. Rozmawiamy; opowiada, że przygotowywany jest protest w sprawie ustawy o specjalnej ochronie prezydenta i 4 innych wysokich urzędników państwowych.

- Obiektywne, oparte na zachodnich standardach dziennikarstwo tu nie wystarcza - mówi - potrzebna jest edukacja społeczna na szeroką skalę...

Czuję, że Vesna ma rację.

## Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (III) - Sarajewo

Z okna samolotu podchodzącego do lądowania na sarajewskim lotnisku najpierw widać domki, małe jak klocki Lego, porozrzucane ręką dziecka wśród zielonych wzgórz. Rosną w oczach; kiedy ATR chorwackich linii wypuszcza podwozie, poznają te domy - to wypalone, martwe ruiny z okiennicami bez szyb, bliznami po moździerzach w kolorze cegły - dzielnice Ilidža i Dobrinja, o które Serbowie i Bośniacy zażarcie walczyli. Ślady zniszczeń porasta bujnie zieleń. Lotniska pilnują transportery SFOR (Stabilization Force) i uzbrojeni po zęby francuscy żołnierze. Dopiero od 3 miesięcy regularnie lądują na nim cywilne samoloty.

### Pierścionek dla żołnierza

Do Sarajewa powróciła nadzieja; choć zmęczeni oblężeniem i nieufni wobec podejmowanych przez Zachód licznych wysiłków mediacyjnych mieszkańcy nie tryskają optymizmem, widać, że życie zwyciężyło destrukcję.



Groby przy poliklinice,  
Sarajewo, 1 stycznia 1993  
Fot. Robert Urbański

W mieście, jak przed wojną, znowu kursują czerwone tramwaje. Jeżdżą taksówki - kierowca wiozący gości z lotniska (są to przeważnie przedstawiciele różnych misji, odważni biznesmeni, odwiedzający rodziny) zawsze pokazuje po drodze rozwalony pociskami budynek "Osłobodzenia", siedzibę rządu, wyremontowany "Holiday Inn", wciąż nieczynną stację kolejową, gdzie na bocznicy stoją wypalone wraki wagonów i zerkając w lusterko obserwuje reakcję przybysza. Bośniaccy policjanci zamienili połowe mundury na czarne uniformy skrojone na modłę amerykańskiej policji.

Ulicami suną stare zastawy i yugo, białe terenowe wozy UN (ONZ) i OSCE (OBWE), wojskowe transportery SFOR i miejskie autobusy z żółtymi gwiazdami Unii Europejskiej - dar dla miasta w ramach programu odbudowy. W centrum starego miasta w dzielnicy Baszczarszija przy meczecie na ul. Saraci mężczyźni kryją miedzianą blachą uszkodzoną kopułę świątyni. Na zewnątrz modlą się kobiety. Pochylają się w głębokich skłonach tak, że przez moment widać tylko ich gołe pięty. Obok przystanął patrol zaciekawionych holenderskich żołnierzy z groźnie wyglądającą bronią na ramieniu. Obserwują modlitwę przez kraty. Nie opodal, zza gmachu wypalanej w środku odbudowywanej obecnie biblioteki sterczy jak wymowny symbol ramię potężnego dźwigu. W licznych sklepikach trwa handel. Wypełniają się martwe nie tak dawno witryny. Amerykański żołnierz - czarnoskóra kobieta z misternie splecionymi warkoczykami negocjuje cenę pierścionka. Na ławce przed sklepem siedzą dziadkowie i piją kawę, której zapach przyjemnie drażni nozdrza. Złoceniami i marmurem kusi oddział tureckiego banku, nie opodal swoje biuro otworzyły linie lotnicze Air Bosnia. Wyglądający jak nastoletni chłopcy malezyjscy żołnierze bawią się z dziećmi, fotografują z bośniackimi dziewczynami. Z kamiennego murku nad rzeką Miljacką ktoś łowi ryby. Odgradzony od klienta szybą szewc naprawia buty. W sarajewskim muzeum trwają prace mające na celu uruchomienie pierwszej po wojnie ekspozycji.

Zbliża się czas uważany na Zachodzie za porę lunchu. Fahrudin Sehić, właściciel restauracji "Una" przy ul. Prote Batkovicia, wypatruje gości sprzed drzwi - oficerowie, żołnierze, pracownicy różnych misji to jego najlepsi klienci - każdy zostawi u niego szeleszczący banknot Bundesbanku, powszechnie używany w Sarajewie środek płatniczy. Dba więc o nich niemal jak o własną rodzinę, którą dzięki nim może utrzymać i spocony, z uśmiechem nalewa wino do kryształowych kieliszków. W pobliskim tanim barze wypełnionym rozgadany tłumem tubylców, zgodnie z przykazaniami Koranu, żadnego alkoholu nie podają. Ulicą przemyka grupa dziewcząt szczelnie, po muzułmańsku okutanych w chusty. Mijam oddział Norwegów, grupę Turków, Amerykanów, Francuzów - żołnierze SFOR spacerują leniwym krokiem, na ich opalonych karkach dyndają aparaty fotograficzne; w wolnych chwilach zachowują się jak spragnieni egzotycznych wrażeń turyści. Gdyby nie ostentacyjnie noszona przez nich broń, ślady po wybuchach mózdzierzy na chodniku i okaleczone mury domów, odnieść by można wrażenie, że trwa tu jakieś międzynarodowe święto zbratania narodów.

### Teraz jest trudniej



Ulica Marszala Tita,  
1 stycznia 1993  
Fot. Robert Urbański

O nadziei głośno nie mówi się w Sarajewie, rany są zbyt świeże i zbyt wiele problemów pozostało do rozwiązania, zbyt wiele narosło nowych. Miasto zmieniło się, większość Chorwatów i Serbów wyniosła się stąd, w ich miejsce przybyli muzułmańscy uchodźcy z wiosek i miasteczek, które zajęli Serbowie. Nowi przybysze, dotkliwie doświadczeni przez los często pałają chęcią odwetu na swoich prześladowcach, a lokalni, radykalnie nastawieni politycy, których tu również nie brakuje, chętnie korzystają z ich wsparcia. Widać rosnące wpływy muzułmańskie - rywalizują tu między sobą Arabia Saudyjska i Iran. Sarajewo traci swój poprzedni, wielokulturowy charakter. To, co w tym mieście było tak niezwykle, stało się pierwszą ofiarą tej wojny.

Sarajewianie, ci, którzy przetrwali oblężenie, choć jak zwykle otwarci i gościnni, zachowują wstrzeźliwość. Kiedy zaczyna się rozmowa o szansach pokoju, milkną, posępnieją i patrzą gdzieś hen przed siebie. Po tym, co przeszli, trudno im uwierzyć w trwałość pokoju, w sens zmian. Nie wierzą już politykom ani opanowanym przez nich mediom, które nie potrafią sobie poradzić z wyzwaniem rzeczywistości. Wolą działać niż o tym mówić.

Tak jak Boro Kontić, dziennikarz, dyrektor programu medialnego Fundacji Sorosa w Bośni, który zachowując smutny wyraz twarzy oprowadza bez cienia dumy po swoim centrum szkoleniowym. Kontić jest z pochodzenia Czarnogórcem, zna nazwiska Kapuścińskiego oraz Michnika i wyraża się z nostalgią o poziomie przedwojennego jugosłowiańskiego dziennikarstwa.

W salach centrum, w wyposażonym w profesjonalny, nowoczesny sprzęt studiu dziennikarze BBC uczą młodych Bośniaków redagowania tekstów, robienia audycji radiowych i telewizyjnych. Od swojego komputera wstaje młody Serb z Mostaru:

- To ładne miasto - mówi płynną angielszczyzną - było...

Potem opowiada o temacie, nad którym pracuje - historii o pewnym amerykańskim żołnierzu SFOR, który w Pale ucałował flagę Republiki Serbskiej i tam niespodzianie zaskoczył go fotograf, który opublikował jego zdjęcie w "Oslobodjeniu".

Dziennikarskie kursy BBC ukończyło ponad 60 osób, z których wszyscy znaleźli pracę w lokalnych mediach. Kontić uważa, że nie ma w tym nic niezwykłego.

Duszka Juriszić, także dziennikarka, wróciła niedawno ze stypendium w Stanach Zjednoczonych. W czasie wojny Duszka była prezenterką wiadomości w telewizji bośniackiej; sfrustrowana, wypełniona emocjami, które pewnie dopiero teraz znajdują ujście, wyrzuca z siebie słowa jak karabin.

- W czasie wojny my, dziennikarze, byliśmy wystawieni na ciągłe niebezpieczeństwo. Zachodnia koncepcja obiektywnej reporterki stanowiła w takiej sytuacji głupi żart. Jak mogłam wtedy przeprowadzić wywiad np. z Karadžiciem, przecież by mnie zabito; wszyscy znali moją twarz - mówi. - Chciałabym ten wywiad zrobić teraz, ale to nadal niemożliwe. Gdybym tam pojechała, nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś, kto utracił w wojnie rodzinę, chciałby mnie uderzyć...



**Uchodźcy koczujący w Zenicy, styczeń 1993  
Fot. Robert Urbański**

- Wtedy rzeczy były prostsze - ciągnie Duszka. - Dziennikarstwo było łatwiejsze. Teraz jest trudniej. Brakuje profesjonalizmu, sprzętu, pieniędzy. Trzeba zmienić system kształcenia dziennikarzy. Nie pozwolić politykom wykorzystywać media dla swoich interesów.

Władze Bośni właśnie zarekwirowały nakład pisma "Polikita", satyrycznego dwutygodnika, który zamieścił karykaturę przedstawiającą symboliczną metamorfozę prezydenta Aliji Izetbegovicia w postać marszałka Jozipa Broz-Tito. Boro Kontić, wspólnie z Mehmedem Haliloviciem, redaktorem naczelnym dziennika "Oslobodjenje" i przewodniczącym Niezależnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Republiki Bośni i Hercegowiny, przygotowują protest w tej sprawie.

- Nie ma w Bośni wolnych mediów - mówi Mark Balsiger, młody Szwajcar, dyrektor utworzonej przez OSCE (OBWE) przy pomocy finansowej rządu szwajcarskiego stacji Free Election Radio Network (FERN). - Dziennikarze nie mogą się oduczyć komentowania.

Radio FERN powstało na czas wyborów parlamentarnych i funkcjonuje do dziś; cykl wyborczy się jeszcze nie skończył - w tym roku 13 i 14 września mają się wreszcie odbyć odkładane z różnych powodów wybory do władz lokalnych. Przez 24 godziny na dobę FERN nadaje wyłącznie programy informacyjne i muzykę. Radiostacja mieści się w podziemiach budynku misji OSCE (OBWE) przy ulicy Bana Obala Kunina w Sarajewie, a z powodu braku łączności pomiędzy serbską a muzułmańską częścią Bośni nagrane przez korespondentów radia taśmy przewożone są samochodem do Sarajewa z Pale. Dyplomaci szwajcarskiej ambasady uważają, że łatwiej jest się porozumieć z Serbami z Banja Luki i Pale niż z Chorwatami z terenu Hercegowiny. W zróżnicowanej etnicznie redakcji

magazynu "Slobodna Bosnia", która ma korespondentów w całej Bośni, słyszę podobną opinię.

Borka Rudić, dziennikarka FERN, mówi, że ludzie nie mogli się do radia przyzwyczaić - to był szok - nagle zaczęli otrzymywać kompletne informacje z terenu całej Bośni. Teraz radia słuchają. Balsiger wierzy w sens swojej pracy, której zadaniem jest przywrócić to, co zostało skutecznie zniszczone - komunikację społeczną na terenie całej Bośni.

### Jedynie miejsce na Ziemi



Sarajewo - tramwaj nad rzeką Miljacką  
Fot. Jan Piekło

Po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich lat, trudno jest żyć w Sarajewie i nie być sfrustrowanym z różnych powodów. Ksiądz dr Mato Zovkić, katolicki Chorwat, bliski współpracownik kardynała Vinko Pulicia czuje, że miasto, które kiedyś ukochał, przestało istnieć. Obawia się, że miejsce komunizmu zajmie obecnie islam.

- Teraz o karierze decyduje chodzenie w każdy piątek do meczetu - mówi.

O wizycie Jana Pawła II w Sarajewie opowiada z goryczą:

- Dlaczego uczestniczących w papieskim powitaniu Chorwatów oskarżono o wygrywanie elementów nacjonalistycznych; cóż złego było w zamanifestowaniu swoich korzeni chorwackimi flagami?

Ksiądz Zovkić surowo ocenia bośniackie niezależne media:

- Mają bardzo ograniczone działanie i tylko krytykują, nie proponują nic konstruktywnego, żadnych rozwiązań... Nie współtworzą nadziei.

Uważa, że na początek należałoby wyeliminować ze słownika mediów obraźliwe wyrazy kwalifikujące, takie jak: czetnicy, ustasze, fundamentaliści...

Nie zamierza jednak Sarajewa opuszczać.

- Moje miejsce jest tutaj - mówi na koniec i brzmi to jak wyznanie wiary.

Mgła schodzi z gór i w Sarajewie świeci słońce. Na tle zielonych wzgórz bieleją wieżyczki minaretów. W kawiarence na skwerku nie opodal cerkwi na obelisku z imieniem wielkiego jugosłowiańskiego pisarza, noblisty Ivo Andricia, zamiast jego popiersia stoi głośnik, z którego dobywają się głośne dźwięki rocka. Ludzie wystawiają twarze do słońca, piją kawę i wciąż nie wierzą, zastanawiając się, czy przypadkiem spokój nie trwa za długo. Potrzebują nadziei jak roślina wody; przeszli przez piekło i tylko nadzieja może przywrócić ich światu. Międzynarodowa społeczność powinna podtrzymywać tę nadzieję na wszystkie możliwe sposoby.

## Jan Piekło, Krajobraz po wojnie (IV) - Brčko

Spokojny nurt Sawy dzieli oba brzegi rzeki. Zburzony w trakcie działań wojennych i odbudowany potem przez saperów sił międzynarodowych SFOR most połączył je znowu - brzeg chorwacki i ten, na którym stoi tablica z napisem w cyrylicy: "Republika Serbska". Zaraz dalej za tablicą zaczyna się Brčko - miasto o strategicznym znaczeniu dla państwa bośniackich Serbów. Leży w wąskim korytarzu między Chorwacją i Federacją Muzułmańsko-Chorwacką, który widoczną na mapach cienką linią łączy ze sobą obie części Republiki Serbskiej: północno-zachodnią z Banja Luką zdominowaną przez zwolenników prezydent Biljana Plavšić i południowo-wschodnią ze stolicą w Pale, siedzibą stronników ściganego za zbrodnie wojenne Radovana Karadžicia.

W czasie trwania organizowanych przez OBWE wyborów do władz lokalnych na skwerze w centrum Brčka Serbowie postawili pomnik. Odlany w brązie, stojący na marmurowym cokole w środku zniszczonego wojną i zaniedbanego miasta ma upamiętniać "bohaterstwo serbskich obrońców Brčka".

### **Etniczne czyszczenie albumów ze zdjęciami**

Przed wybuchem wojny w 1992 roku Brčko było handlową i kulturalną stolicą bośniackiej prowincji Posawina, tu znajdował się również największy port rzeczny w Jugosławii, w którym przeładowywano ponad milion ton towarów rocznie. Gmina Brčko liczyła wtedy około 90 000 mieszkańców, w tym było około 25% Chorwatów, 44% Muzułmanów i 20% Serbów.

Mieszkanki Brčka - Serbki: Jesenija oraz Desanka - chodziły wtedy do szkoły i przyjaźniły się z rówieśnikami pochodzącymi z różnych grup etnicznych.



**Pomnik serbskich obrońców  
Brčka  
fot. Jan Piekło**

Potem zaczęła się wojna - o miasto toczyły się ciężkie walki. Bośniaccy Serbowie, choć stanowili mniejszość, zajęli Brčko i do dziś sprawują nad nim kontrolę. Koledzy Jeseniji i Desanki poszli na front walczyć - jedni pod znakiem z chorwacką szachownicą, drudzy w armii BiH lub wojsku bośniackich Serbów. Jesenija pamięta jak sparaliżowana strachem leżała plackiem przy drodze, po której jechały czołgi a wokół padały pociski i rozrywały się granaty.

- Drugi raz tego bym już nie zniosła, uciekłabym stąd daleko - mówi.

Później obie dziewczyny przez jakiś czas przebywały w Serbii jako uchodźcy (obowiązujący na terenach Bośni urzędniczy żargon nazywa uchodźców enigmatycznie DP - Displaced Persons, zakładając, że zgodnie z porozumieniami w Dayton powrócą do swoich domów). Szybko się przekonały, że nikt ich tam nie chce; dowiedziały się, że to przez nich mieszkańcy Belgradu nie mają cukru. Kiedy walki ucichły wraz z rodzinami wróciły do Brčka. Miasto zmieniło się; nie znalazły w nim swoich dawnych kolegów i koleżanek z innych grup etnicznych. Chorwaci i Muzułmanie opuścili swoje domy, ich miejsce zajęli serbscy uchodźcy z Sarajewa, Krajiny i innych części Bośni. Teraz w szkole, do której chodziła

Desanka czy Jesenija, zasiadają w ławkach tylko mali Serbowie, którzy nie wiedzą, że kiedyś życie wyglądało tu inaczej. Serbscy rówieśnicy obu dziewczyn, którzy dorastali w okopach zabijając strach rakiją i strzelając do swoich byłych kolegów - Muzułmanów i Chorwatów - nie mogą się teraz odnaleźć.

- Nie wiem, co z nimi będzie - martwi się Jesenija - są przegrani, skończeni, zrujnowani. Nie potrafią niczego robić. Nie wiedzą, jak się pracuje... Żrąca wszystko korupcja i kombinowanie stanowią receptę na życie.

Desanka i Jesenija dojrzewały w warunkach wojny i widziały zbyt wiele, by teraz ulegać tanim sentymentom. Są pragmatyczne, chciałyby normalnie żyć. Obie dobrze znają język angielski, mogą więc pracować jako tłumaczki dla licznych organizacji międzynarodowych mających swoje biura w Brčku.

- Jeśli ktoś z naszych miałby o to pretensje - mówią - to proszę, niech nam da pracę i niech zapłaci tyle samo.

Matka Jeseniji pracuje w szkole jako nauczycielka. Jesenija nie pamięta, kiedy matka ostatnio wzięła pensję.

Desanka studiuje anglistykę w Banja Luce, nie lubi Belgradu, pragnęłaby kiedyś zobaczyć Nowy Jork. Zastrzega jednak, że amerykańska demokracja musi być fikcją, skoro na ulicach żyje tylu bezdomnych.

Samra jest Muzułmanką, przed wojną mieszkała w Brčku, być może chodziła do tej samej szkoły z Desanką i Jeseniją. Teraz, jak one, pracuje jako tłumaczka dla OBWE i jako DP "czasowo przebywa na terenie Federacji". Dzięki OBWE w czasie wyborów do władz lokalnych znalazła się na parę godzin w Brčku. Nie wiadomo, czy był to przypadek; a może po prostu tego bardzo chciała... W każdym razie bardzo chciała odwiedzić dom, w którym wraz z rodziną mieszkała.



**Brčko - plakaty wyborcze  
na ulicach miasta  
fot. Jan Piekło**

Długo się zastanawiała, zanim zapukała. Drzwi otworzył starszy pan, Serb. Samra wyjaśniła, że przed wojną tu właśnie mieszkała. Serb zmieszany powiedział, że jest mu bardzo przykro; on też utracił dom i dostał przydział na właśnie to mieszkanie.

-Jeśli chcesz zabrać coś swojego, to bierz - zaprosił dziewczynę do środka.

Samra nieśmiało weszła.

- Chciałabym zabrać nasze fotografie - odpowiedziała.

Serb wyjął z komody pakiet rodzinnych zdjęć.

- Wiedziałem, że kiedyś po nie przyjdiesz - powiedział ciepło.

Samra rozplakała się.

Może starszy pan zostawił swój album z rodzinnymi zdjęciami gdzieś w Sarajewie czy w Krajinie i już nigdy go nie odzyska? Może jego zdjęcia spaliły się razem



z trafionym pociskiem mieszkaniem? W każdym razie był przygotowany na wizytę Samry. Nie zniszczył jej zdjęć.

### Wybory, których nikt się nie spodziewał

Ponieważ Brčko stanowiło przysłowiową kość niezgody pomiędzy Chorwatami, Serbami i Muzułmanami, jego status nie został ujęty w porozumieniu z Dayton z 1995 roku. Międzynarodowy arbitraż miał zająć się problemem Brčka później, ostateczny termin ogłoszenia decyzji trzykrotnie odkładano. Zamierzeniem dyplomatów i negocjatorów jest przywrócenie miastu jego poprzedniego wielokulturowego, wieloetnicznego charakteru, co w praktyce oznaczałoby powrót do Brčka rzeszy uchodźców.

Simika był kiedyś milicjantem, w czasie wojny walczył o serbskie Brčko. On i wielu innych Serbów nie wyobraża sobie powrotu Muzułmanów i Chorwatów do miasta. Serbowie walczyli o nie, ich wysiłek upamiętnia teraz stojący w centrum na skwerze pomnik; uważają, że zbyt wielką cenę zapłacili, by wszystko później miało zostać zmarnowane.

W wyniku wojny gmina Brčko uległa podziałowi, samo miasto Brčko pozostało pod kontrolą bośniackich Serbów podczas gdy południowa część gminy znajduje się w obrębie Federacji Chorwacko-Muzułmańskiej. Władze Federacji odmówiły uznania tego status quo uważając, że równałoby się to akceptacji dokonanych na tych terenach czystek etnicznych. Chcąc przeprowadzić wybory do władz lokalnych OBWE stanęło więc przed nie lada dylematem. Kiedy już rozwiązano tę kwadraturę koła decydując się zorganizować wybory również na terytorium Federacji, Serbowie z kolei zagrozili bojkotem wyborów. W trakcie procesu rejestracji uprawnionych do głosowania doszło na terenie Brčka do przypadków łamania obowiązującej procedury; pod ścisłym międzynarodowym nadzorem rejestrację rozpoczęto więc od nowa. Właściwie do dnia wyborów urzędnicy OBWE nie wierzyli, że one się w Brčku odbędą.



Plakat z Radovanem Karadžićem na ulicach Brčka  
fot. Jan Piekło

28 sierpnia zwolennicy prezydent Biljany Plavszić podjęli próbę zajęcia kontrolowanej przez Pale lokalnej komendy policji. Nie udało im się, zmobilizowany przeciw nim tłum zaatakował pojazdy SFOR i międzynarodową policję UNIPTF. Wszystkie międzynarodowe organizacje zostały z Brčka ewakuowane. Tłum uszkodził samochody i budynek UNIPTF. Kiedy pracownicy OBWE wrócili do swego biura zauważyli zasadniczą zmianę w nastawieniu lokalnej ludności, która oskarżyła międzynarodowe organizacje o stronnictwo i próby wywierania na Serbów nacisku. Na murach i witrynach sklepów wśród masy plakatów wyborczych socjalistów, radykałów i demokratów pojawiły się w nocy nowe ze zdjęciem Radovana Karadžicia i napisem: Nie waźcie się go dotknąć! On oznacza pokój!".

Mieszkańcy Brčka zaczęli patrzeć coraz bardziej spode łba na patrolujących miasto uzbrojonych w budzące szacunek karabiny M-16 żołnierzy amerykańskich SFOR. Chłopców z Teksasu czy z Arizony przyzwyczajonych, że otaczał ich zawsze wianuszek zaciekawionych dzieciaków, zaskoczyła nagła zmiana atmosfery. Życzliwie nastawieni, przekonani, że przyjechali tutaj, by "bronić

demokracji", musieli się poczuć teraz nie chcianymi intruzami. Znajdujące się pod wpływem Pale środki masowego przekazu nazwały ich nawet "okupantami".

W takiej atmosferze, mimo wzajemnych uprzedzeń odbyły się, ku zaskoczeniu wszystkich, wybory. Frekwencja była nadzwyczajna, bo i stawka była wysoka - Serbowie uważali, że w ten sposób uda się im utwierdzić serbskość Brčka i zalegalizować wojenne status quo. Do przygotowanych przez OBWE urn szli młodzi i starcy o lasce, okutane w czarne chuściny babuleńki, do lokali wyborczych wnoszono na wózku sparaliżowanych ludzi. Wielu starszych ludzi nie potrafiło czytać, w wyborze pomagali im krewni i znajomi. Patrolujące okolice wozy pancerne SFOR obrzucano nieprzychylnym spojrzeniem. Jakaś kobieta, której syn zginął w czasie wojny, przeklinając wygrażała amerykańskim żołnierzom pięścią. Grupa międzynarodowych obserwatorów nadzorowała wybory, poważniejszych uchybień nie odnotowano. Jak można było przewidzieć, najwięcej głosów padło na partie nacjonalistyczne: SDS (Serbską Partię Demokratyczną), SRS (Serbską Partię Radykalną) i na spowinowaconych z partią Slobodana Miloszevicia socjalistów.

Simika i jego koledzy mają powody do zadowolenia, należą do SDS i ich partia wygrała. Jesenija i Desanka już nie spróbują nawiązać utraconych kontaktów ze swoimi kolegami i koleżankami narodowości muzułmańskiej czy chorwackiej - nie wierzą, że może się to udać. Samra wróciła na teren Federacji. Siedzi teraz w nie swoim mieszkaniu przy nie swojej lampie i ogląda odzyskane rodzinne fotografie; myśli o Serbie, który mieszka w jej rodzinnym domu... Serb zaś wspomina dom, który w pośpiechu opuścił gdzieś w Sarajewie czy Krajinie i zastanawia się, czy ktoś mu kiedyś odda jego album z rodzinnymi zdjęciami...

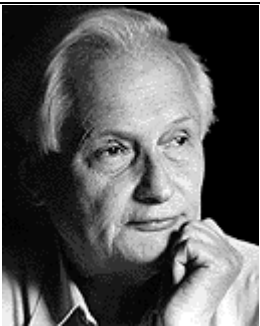
Branislawa ma rodzinę w kontrolowanej przez Muzułmanów Tuzli. Odwiedziła ich i twierdzi, że tam ludzie są inni - częściej uśmiechają się, są bardziej otwarci i przyjaźni.

- My, Serbowie - mówi - jesteśmy zbyt dumni. Nie potrafimy nikogo o nic prosić. I dlatego jest, tak jak jest.

ZOS, czyli Zone of Separation, to dawna strefa przyfrontowa, obecnie rozdzielająca zwaśnione strony. Jeśli kiedyś były tam domy, to pozostały z nich osmalone ruiny, które bujnie zarastają chwastami. Część terenu jest nadal ciągle zaminowana (jak wyjaśnił amerykański oficer, w czasie wojny zaminowanie opuszczonego domu spełniało rolę systemu alarmowego zabezpieczającego posesję przed intruzami). Grafitti na murach informuje, kto był tu ostatni.

Wieczorem gdzieś na obrzeżach ZOS migają światełka, niektórzy śmiałkowie odważyli się wrócić do tego, co pozostało z ich domów. Wybory odbywały się także i tu, autobusy przywoziły ludzi na głosowanie. Międzynarodowy projekt zamierza rozpocząć właśnie tu program rekonstrukcji wieloetnicznej społeczności. Może na tym sponiewieranym i zniszczonym skrawku ziemi narodom Bośni będzie łatwiej żyć razem.

## Stefan Wilkanowicz, Sarajewo, niedziela po południu



**Stefan Wilkanowicz**

O drugiej po południu M. pojawia się zgodnie z umową. Poznałem go zamawiając rozmowę przez centralę telefoniczną. Podałem numer, po paru minutach oddzwonił i powiedział: "niestety, nie zgłasza się". Wychodząc na miasto zagadnąłem go. Odpowiedział dobrą polszczyzną. Okazało się, że spędził w Polsce 17 lat. Dziadek pochodził spod Krakowa, wyemigrował do Bośni. Ojciec w czasie II wojny walczył w oddziale ustaszów, po zwycięstwie Tity został skazany na śmierć. Matka z synkiem wyjechała do Polski. Miał wtedy 4 lata. Wrócili po amnestii.

Wsiadamy do jego samochodu - 25-letni "garbus", ale wygląda jak nowy. Kupił go za 400 marek (tu wszystkie ceny są w markach - śliwki na straganie 1 DM za kg, gruszki 4 DM). Ma emeryturę - 130 DM, zarabia 300. Jedzie z nami "niedotykalny" hinduski jezuita, który przedwczoraj miał bardzo ciekawy odczyt o mniejszości Dalitów w stanie Tamil Nadu i systemie kastowym w Indiach. Wieziemy go do jezuitów na przedmieściu Sarajewa. Niełatwo ich znaleźć, bo ich parafialna kaplica mieści się w niezbyt wielkim domu i tylko krzyż na ścianie jest znakiem rozpoznawczym. Ściana osmalona, dziura prowizorycznie zatkana jakąś płytą. Przed kilkoma dniami ktoś tu podłożył bombę, podobnie jak pod dwa inne katolickie kościoły. Jeden z nich odległy o 50 metrów od posterunku policji.

Wchodzimy, witamy się z kilkoma jezuitami z różnych krajów. To międzynarodowa ekipa, prowadzą tu parafię i Caritas - m.in. wydają paręset obiadów dziennie. W tej dzielnicy mieszka wielu uchodźców, którzy prawie wszystko stracili.



**Dziewczynka przy swoim domu, Sarajewo, czerwiec 1994  
Fot. Robert Urbański**

Młody człowiek odzywa się do mnie po polsku - Czech, studiował filozofię u jezuitów w Krakowie. Po chwili drzwi się otwierają i widać kilkoro młodych Japończyków. Nasz Hindus wychodzi do nich, wita się serdecznie. Spotkał ich w samolocie do Sarajewa - to ochotnicy, którzy przyjechali tu pomagać, roznoszą obiady chorym i inwalidom. Przybyli tu w ramach Jesuit Refugee Service, ale właściwie nie wiedzą, co to za organizacja. Rozmowa nie może się rozwinąć, bo pojawiają się nowi goście - dwóch ludzi w mundurach SFOR. Jeden to francuski generał, dowodzi oddziałami Legii Cudzoziemskiej. Drugi wita mnie po polsku i przypomina, że spotkaliśmy się na pielgrzymce z Krakowa do Częstochowy. Pamięta moją

konferencję...To kapelan tych oddziałów. Ktoś z jezuitów wtrąca, że ostatnio był on w niewoli u Serbów (18 dni), ale nie ma czasu o tym rozmawiać.

Żegnamy się i jedziemy do domu M., wspinając się krętymi i wąskimi drogami, wśród domków (na ogół zniszczonych) i ogródków. Wreszcie jesteśmy na miejscu, w połowie zbocza góry. Po prawej stronie siedzi przed domem para starych ludzi. Wstają, pozdrawiają nas w pełen szacunku, niemal ceremonialny sposób.

To Muzułmanie, przesiedleńcy z wioski spalonej przez Serbów. "To bardzo dobrzy sąsiedzi" - mówi M. Skręcamy w lewo, wchodzimy do ogródka. Wita nas matka M. Siadamy przy stole ocienionym drzewem i jakimiś pnącymi się krzewami. W dole miasto jak na dłoni.

Matka prosta, serdeczna. Mówi po polsku ze swoistym wiejskim akcentem. Pojawia się kielbasa, ser, pomidory, lemoniada, kawa, herbatniki i chorwacki koniak. Zaczyna opowiadać. Mieszkała tu - a właściwie w sąsiednim domu, u sąsiadki Serbki, która ją chroniła - przez cały czas wojny. W jej domu byli serbscy żołnierze. Na skraju ogródka okopy, powyżej Muzułmanie. W dole oddziały chorwackie i muzułmańskie. M. był w chorwackim, jego syn w muzułmańskim - tak się złożyło. Patrzyli czasem na swój dom, ale matki nigdy nie dostrzegli. M. mówi, że na froncie było stosunkowo najlepiej, bo dostawało się jakieś jedzenie - a czasem i najbezpieczniej. W mieście trzeba było stale uważać na snajperów i z niezwykłym trudem zdobywać coś do jedzenia. Ogrzewania oczywiście nie było, po wodę trzeba było nieraz stać 8 godzin, kryjąc się przed snajperami.

Pojawia się syn i synowa. On trochę mówi po polsku, na wakacje jeździł kilka razy do Polski, ale się krępuje, nie ma wprawy. Pracuje na poczcie, instaluje telefony. Ale rzadko realnie coś robi, bo rzadko przychodzą aparaty z zagranicy - w transportach z darami.



**Sarajewo - Stare Miasto**  
Fot. Jan Piekło

Po kilkunastu minutach odjeżdżają własnym samochodem, ale nie pozostajemy sami - przy furtce staje jakiś człowiek z wielkim arbuzem na ramieniu, ubrany w kolorowy dres. Chwilę rozmawia, po czym wchodzi, wita się, siada, kroi arbuz i kładzie przed nami. Gada jak najęty i co chwila wybucha śmiechem. M. raczej milczy, jego matka coś odpowiada od czasu do czasu. To też sąsiad, Muzułmanin. Dom miał zniszczony, ale pościagał co się dało z sąsiednich i ładnie wyremontował. Dobrze mu się powodzi, ma zakład fryzjerski i właśnie zakłada drugi.

Znowu ktoś podchodzi do furtki, wita się i siada. To kuzyn fryzjera. Udało mu się w czasie wojny wyjechać z żoną do Holandii, tam ma dobry zasilek. Kilka razy w miesiącu przyjeżdża autem do Sarajewa i tu je sprzedaje.

Po półgodzinie sąsiedzi żegnają się, a my idziemy na mały spacer. Kilkaset metrów powyżej - zniszczone koszary, jeszcze wyżej, na szczycie, bunkier. Przechodzimy obok jakiejś łączki, pozdrawiamy człowieka pasącego krowę. Pytam, czy nie było tu min. Otóż on najpierw puścił na łąkę kozy, nic się im nie stało; wobec tego zaczął kosić trawę. Natrafił na trzy miny, ale nie wybuchły. "Ja bym tu nie wszedł - mówi M. - raz nastąpiłem na minę, to mi wystarczy. Dobrze mnie poraniła, ale obyło się bez amputacji".

Mijamy domki w ogródkach, prawie wszystkie mniej lub więcej zniszczone, niektóre w odbudowie. Co parę minut mijają nas zachodnie auta, wyglądają jak nowe. Przypominają mi się słowa niemieckiego przyjaciela, z którym jesteśmy razem w Sarajewie: "Tu jest więcej mercedesów niż w Niemczech". Właśnie mija nas eleganckie audi. Jak to jest? - pytam M. "Kupują graty w Niemczech i remontują" - mówi. A są i tacy, których stać na nowe. Dorobili się w czasie wojny

- na przykład żołnierze, którzy pobierali słone myto za przejazd w niektórych miejscach. Dla nich wojna mogłaby trwać jeszcze kilka lat.

Wracamy do domu, a właściwie do ogródka. Dopiero teraz widzę, że połowa domu jest zniszczona. Mówimy dalej o wojnie. Tego odcinka broniło tylko 15 Serbów, ale Muzułmanie o tym nie wiedzieli i pracowicie drażyli tunel, aby ich zaskoczyć od tyłu. Szło to bardzo wolno, bo natrafili na skałę. Nie zdążyli przed układami w Dayton.

"Może by i lepiej było, żeby się wszyscy rozdzielili, Chorwaci, Muzułmanie i Serbowie" - mówi matka. Czyli uznać czystki etniczne - myślę. Byłoby to oczywiście niesprawiedliwe, ale chyba tylko szalenię mógłby tu marzyć o sprawiedliwości. Przypominają mi się słowa kardynała Puljića sprzed paru dni: "lepszy zły pokój niż wojna".



Sarajewo - widok ze stacji kolejowej  
Fot. Jan Piekło

Ochłodziło się trochę, zbieram się do powrotu. Tym razem pieszo, bo w dół, na skróty, idzie się szybko i łatwo. M. mnie odprowadza i wyciąga podarki na drogę (jutro odlatuję): czekoladę, witaminy i gruszki z ogródka. Nie sposób nie przyjąć.

Po drodze znowu zniszczone i niekiedy odbudowywane domki. Niektóre zbombardowane lub wypalone, inne rozkradzione lub nawet na wpół rozebrane - bo coś komuś było potrzebne, albo po prostu po to, aby właściciele (Serbowie, wszyscy uciekli) nie mieli do czego wracać. A zresztą gdyby nawet odważyli się wrócić, to i tak pracy nie dostaną. Trudno o nią dla Chorwatów, co dopiero dla Serbów.

Nagle wylania się jakiś elegancko odnowiony czy wybudowany sklep z dumnym napisem "Mini market". Kto tu będzie coś kupował - dziwimy się. "Wszyscy chcą teraz mieć sklepy" - zauważa M.

Przechodzimy przez most na rzece, wchodzimy do śródmieścia. M. pokazuje, skąd strzelali snajperzy, które przejścia były osłonięte kontenerami, które skrzyżowania trzeba było omijać. I jak uważać na zagranicznych dziennikarzy - jeśli taki gdzieś stał z kamerą, to mógł czekać na zamówiony u Serbów ostrzał - przecież trzeba było mieć nowe filmy na wieczorne wiadomości. Spotykamy jakąś parę w średnio-starszym wieku, zatrzymują się, M. wita się serdecznie. To teściowie jego syna. On Muzułmanin-komunista-ateista, ona Chorwatka. Córka przyjęła chrzest jako młoda dziewczyna. Odbył się w domu, ksiądz do nich przyszedł. "On mnie czasem pyta - mówi M. - czy wpuściłbym imama do swojego mieszkania, aby mi zabrał syna?"

Coraz więcej przedwyborczych plakatów. Ale wkrótce ustępują miejsca innym - co dziesięć, dwadzieścia metrów wielkie litery U2. Koncert ma być tydzień po wyborach.

"Co tu się będzie działo?" - pytam. "Nikt nie wie - wszystko zależy od Amerykanów". "A co będzie, jak stąd wyjdą?" "Pewnie wojna".

Żegnamy się serdecznie.

## Stefan Wilkanowicz, Szkoła dla Europy

W Sarajewie, gdzie wszystko jest splecione, niepewne, zagrożone, naznaczone krzywdami i podziałami, gdzie na każdym kroku widać ślady wojny i gdzie nadal wybuchają bomby (ostatnio podłożono je pod trzy kościoły) natrafiłem na oazę nadziei. Nosi ona nazwę "Szkoła dla Europy". Nie jest to jakaś specjalna szkoła, mająca w programie europejskie zagadnienia czy szkoląca polityków, urzędników lub przedsiębiorców. Jest szkołą (a właściwie zespołem szkół: podstawowa, gimnazjum oraz zawodowa dla pielęgniarek) dla zwykłych uczniów i uczennic z Bośni i Hercegowiny, założoną przez katolicką diecezję w Sarajewie. Mimo tej swojej zwykłości szkoła jest jednak modelem dla Europy. Ale zacznijmy od podstawowych informacji.

Uczęszcza do niej 1100 uczniów, w tym 30% muzułmanów, 15% katolików, 7% prawosławnych. Reszta - czyli prawie połowa - nie daje się łatwo zakwalifikować do jakiejś grupy narodowej czy religijnej. Są to i niewierzący, i członkowie sekt (nie ujawniających się), dzieci z małżeństw etnicznie lub religijnie mieszanych albo nie potrafiących określić swej tożsamości, uchodźcy i cudzoziemcy.

W programie wiele miejsca zajmują języki i informatyka. Nauka angielskiego zaczyna się od pierwszej klasy szkoły podstawowej, francuskiego lub niemieckiego (do wyboru) od piątej. W gimnazjum dochodzą cztery lata nauki łaciny (w szkołach publicznych dwa). Lekcje informatyki (oczywiście bardziej praktyczne) zaczynają się od piątej klasy szkoły podstawowej.



Nauczanie religii jest nieobowiązkowe. Zajęcia z dziećmi katolickimi prowadzi ksiądz, z muzułmańskimi - imam. Dzieci prawosławne są przyłączone do katolickich, ale to nie prozelityzm, tylko względy praktyczne - w całym Sarajewie jest dziś jedynie dwóch prawosławnych duchownych i na regularne uczenie w szkole nie mają czasu. Do tego dochodzi w gimnazjum historia religii (ważniejszych religii światowych) - przez dwa lata - i etyka, także przez dwa. I jedna, i druga obowiązkowa

dla wszystkich uczniów.

Łatwo się domyślić, dlaczego taki program opracowano dla sarajewskich dzieci. W mieście jest dużo zniszczonych budynków, ale zniszczenia w ludziach są powszechniejsze i głębsze. Po tym wszystkim, co się tutaj działo, po latach propagandy strachu i nienawiści, walk, tortur i mordów, najważniejsza jest odbudowa człowieka, czyli pogłębienie tożsamości i jednocześnie otwarcie na innych, na świat, obrona przed pluralizmem ksenofobicznym i sekciarskim, przed wojną gett, bez wpadania w pułapkę relatywistycznego zagubienia.

Wydaje się, że tak pomyślany program najbardziej odpowiada potrzebom wychowania młodych Bośniaków. Języki i informatyka są oczywiste - dają otwarcie na świat i nowoczesność, zwiększają szanse na rozwój kraju i po prostu na znalezienie pracy. Religia i etyka pomagają odbudować wrażliwość moralną, oddziałując w różny sposób - poprzez poznawanie i praktykowanie własnej religii, poprzez poznawanie religii innych oraz przez refleksję etyczną mającą bardziej filozoficzny czy mądrościowy charakter.

W tym momencie natychmiast pojawia się problem: czy religijne postawy fundamentalistyczno-nacjonalistyczne nie są właśnie przyczyną tej wojny i źródłem nieszczęść? Wojny w byłej Jugosławii tak bywają postrzegane, choć słuszniej byłoby powiedzieć, że odpowiedzialność ponoszą politycy posługujący się religiami oraz gangi bogacące się na wojnach. Nie ma co jednak ukrywać, że niebezpieczeństwo deformacji postaw religijnych jest realne. W okresie walk musi następować ich radykalizacja i polityzacja, doprowadzająca nieraz do zaprzeczenia ich istocie. Stąd odbudowa człowieka to także odbudowa autentycznego rozumienia i przeżywania religii.

Program tej szkoły ma więc także znaczenie oczyszczające dla samych religii, bowiem muszą tu przyjaźnie współistnieć - inaczej szkoła w tej postaci się nie utrzyma, straci rację bytu.

Na pewno praca nie jest tu łatwa, to przecież eksperyment wychowawczy realizowany w skrajnie trudnych warunkach. Ale, jak dotąd, udaje się. Szkoła istnieje od trzech lat i nie zanotowano żadnych problemów związanych ze współżyciem dzieci z różnych grup etniczno-religijnych, i to dzieci tak obciążonych wojennymi przeżyciami.



**Sarajewo - w uliczkach  
Starego Miasta  
Fot. Jan Piekło**

Spójrzmy jednak na sprawę z innej, europejskiej perspektywy. Czy pluralizm nie jest już rzeczywistością w Europie? Czy w wielu szkołach nie mamy porównywalnych proporcji dzieci wierzących (na różne sposoby) i niewierzących? Czy sąsiedzkie współżycie (dobre lub złe) ludzi różnych ras i religii nie jest banalną codziennością w wielu dzielnicach miast? Czy wiemy, jak zapewniać integrację mniejszości bez niszczenia ich korzeni - i jak zapobiegać powszechnemu wykorzenieniu? Jak promować twórczy dialog kultur?

Twórcy "Szkoły dla Europy" zapewne chcieli przez tę nazwę wyrazić swą wolę pełnego uczestnictwa w europejskim życiu, zapewne lękali się izolacji, marginalizacji czy wprost nowych czystek etnicznych. W moich oczach ta nazwa uzyskuje jednak nowe znaczenie - staje się początkiem refleksji nad programami szkolnymi we wszystkich krajach europejskich, nad wychowaniem młodych Europejczyków. Richard von Weizsäcker, były prezydent Niemiec, powiedział kiedyś, że Europa potrzebuje *pluralizmu ekumenicznego*, czyli bogactwa różnorodności opierającego się na wspólnych wartościach. W Sarajewie niespodziewanie natrafiłem na model wychowania, który zdaje się to właśnie mieć na celu.

Nie możemy więc go zlekceważyć, lecz raczej nawiązać współpracę - z wychowawcami i z uczniami. Już ona zresztą istnieje, z paroma szkołami we Francji i w Niemczech, ale bardzo pożyteczne byłoby jej rozszerzenie i pogłębienie - oczywiście bez przeciążania sarajewskich wychowawców. Ale taka współpraca może i im pomóc - przecież nie mają gotowych, sprawdzonych programów i metod - szukają i eksperymentują. Dlaczego nie razem?

P.S. W nocy 11 października br. nieznani sprawcy dokonali zamachu bombowego na szkołę. Ofiar w ludziach nie było, straty materialne są znaczne.

## Martin Bell, Dziennikarz - świadek nienawiści

Obywatele Niemiec Wschodnich pojawiający się w moim reportażu z czarnego rynku znajdującego się na Alexanderplatz w Berlinie, opanowanego przez smagłych handlarzy z Rumunii, mieli zakłopotane miny i byli źli. Widać było, że tęsknią za starym porządkiem, kiedy takie rzeczy były zabronione. Jeden z nich wypowiedział gorzkie słowa o "Żydach i Cyganach, którzy nie mają zamiaru tu pracować". Materiał ukazał się w wiadomościach telewizyjnych o godz. 18, w serii reportaży o nowych Niemcach dotyczących w mniejszym lub większym stopniu tej kwestii, ale bez uwagi na temat Żydów i Cyganów. Ktoś uznał, że dzisiejsi Niemcy nie powinni myśleć w ten sposób, a jeśli tak jest, to nie do nas należy pokazywanie tego.

Było to delikatne, aczkolwiek - jak sądziłem - niebezpieczne ukrycie prawdy, którą przewidział Peter McKay: "Przyjdą trudne chwile dla zjednoczenia Niemiec - napisał. - Ze starego komunistycznego kokonu na Wschodzie wynurzą się jacyś okropni ludzie. I niezależnie od tego, jak bardzo byśmy pochwalali zjednoczenie, musimy troszczyć się o dokładne relacjonowanie - czy się to komuś podoba czy nie - co się tam robi i mówi. Nie chcemy więcej niespodzianek pochodzących z Niemiec". To drobne zdarzenie ilustruje - jak sądzę - ogólną prawdę o tym, że political correctness pozostaje w niezgodzie z dobrym reportażem. Osobiście nic nie mam przeciwko political correctness i będę popierał większość z tego, o czym z upodobaniem prawią zawodowcy. Problem w tym jednak, żeby nie zasłaniała ona prawdy, która później może nam zaszkodzić, ponieważ zdecydowaliśmy się ją ignorować. Nie może być tak, że w telewizyjnych wiadomościach nie wolno nam pokazywać wszystkich obrazów, jakie są nam dostępne - bo nie przypadają nam do gustu, bo my sami ledwo możemy na nie patrzeć, zatem po co mielibyśmy narzucać je innym. Jednak kiedy zaczynamy wyrzucać słowa, ze względu na domniemaną political correctness, wpadamy w jeszcze większy kłopot.

Aby pokazać, o co idzie, przytoczę przykład z wojny pomiędzy Muzułmanami i Chorwatami w Bośni. We wrześniu 1993 roku na linii frontu znalazł się zrównany z ziemią szpital psychiatryczny w starej miejscowości uzdrowskiej w Fojnica, w środkowej Bośni. Armia bośniacka stała po jednej stronie, a HVO - Bośniacko-Chorwackie Siły Obrony - po drugiej. Sam szpital zaś znajdował się na ziemi niczyjej, jego personel uciekł, a pacjenci błakali się po obu liniach frontu, bezbronni jak dzieci. A mimo to, co warto zauważyć, nie było żadnej operacji "Irma", żadnej międzynarodowej kampanii w ich obronie. Pragnąłem zakończyć mój reportaż uwagą, że tak wygląda ostatnia faza konfliktu i że nie można sobie wyobrazić bardziej okrutnego obrazu niż dom wariatów w strefie wojny. Powiedziano mi wówczas, iż użycie słowa "dom wariatów" przestało być dopuszczalne: niektórych ludzi mogłoby to określenie obrazić. Próbowałem się bronić, ale na próżno. Chodziło o drobnostkę, ale rzecz miała znaczenie symboliczne. Jeśli bowiem odbiera nam się siłę i melodykę prostego angielskiego - angielskiego Cobbetta, Dickensa i Orwella - to nasze spojrzenie na świat się zaciemnia.

Orwell w swoim eseju "Polityka i język angielski" dostrzegł powiązanie pomiędzy zepsuciem języka i zepsuciem myśli (w jego czasach nie używano pojęcia political correctness, ale mniej więcej to samo on nazywał "ortodoksją"): "Wydaje się, że ortodoksja, jakiegokolwiek maści, wymaga martwego, naśladowczego stylu [...]"



Jeśli upraszczamy angielski, uwalniamy się od najgorszych wybryków ortodoksji". I nie było czystki etnicznej, ale coś, co ją przypominało: "Bombarduje się bezbronne wioski, mieszkańców wygania się z domów, płoną domy podpalone pociskami zapalającymi; i to się nazywa pacyfikacją".

Moje życie zawodowe toczyło się prawie wyłącznie na terenach wojennych. Przez cztery lata prawie nic innego nie robiłem i mógłbym równie dobrze podać nową definicję mojego zawodu: korespondent nieporządku nowego świata. Nie spodziewałem się, że będę żył w takim napięciu i naprawdę nie wiedziałem, czy moje nerwy to wytrzymają, czy nie są już zbyt zszargane. Z rutynowym niebezpieczeństwem zwykle umiałem sobie poradzić, ale miałem poczucie winy związane z nieustannym widokiem cierpienia innych. Na linii frontu w środkowej Bośni filmowaliśmy razem z kamerzystą Sebastianem Richem nagłą ucieczkę chorwackich uchodźców. Obładowana tobołami stara kobieta z wnuczką potykały się na wyboistej drodze, wędrując przez tę ziemię niczyją, usianą minami. "Wiesz - powiedział Seb - są chwile, kiedy nienawidzę tej cholernej roboty". Przyznałem mu rację. Nie powinniśmy filmować tych kobiet, powinniśmy im pomóc. Jednak gdybyśmy tak uczynili, stracilibyśmy nasz materiał, a Serbowie po drugiej stronie by nas zaaresztowali. Takie rozumowanie wyglądało jak licha wymówka. I teraz też tak wygląda.

Jesienią 1993 roku uświadomiłem sobie, że względu na sposób, w jaki moi chlebodawcy zaczęli ze mną rozmawiać, że być może zaczynają się zastanawiać, czy ja sam nie stałem się kandydatem do jakiegoś rodzaju brytyjskiej Fojnici. I nie byłem przypadkiem odosobnionym. W medycynie rozpoznaje się zespół chorobowy pod nazwą stres pola walki, który może dotknąć równie dobrze dziennikarza jak i żołnierza. Po powrocie z Bośni zostałem wezwany na konsultacje do naczelnego lekarza BBC, miłego i doświadczonego Irlandczyka. Przypuszczałem, że chodziło o badanie pooperacyjne w związku z raną odniesioną w czasie wojny. Była to jednak wizyta oficjalna, pełna uprzejmości, a pytania dotyczyły innego problemu - stanu mojego umysłu, właściwie mojego zdrowia psychicznego. Dr Anthony Clare, jeszcze jeden wnikliwy Irlandczyk, wypytywał mnie o to samo publicznie w programie radiowym dotyczącym umysłu, a obok niego siedział specjalista od stresu pola walki. Mogłem się jakoś z tego wywinąć. Zadawali naprawdę trudne pytania. Zdawali się sądzić, że obojętność na to, przez co przeszedłem, może być potraktowana jako dowód wypadnięcia z medycznej normy. Twierdziłem, że jestem mniej lub bardziej zdrowy na ciele i umyśle, ale czyż stres pola walki nie może - jak alkoholizm - objawiać się zaprzeczaniem występowania objawów choroby?

Przyznałem się do pewnych zmian, jakie u siebie zauważyłem. Jedną z nich polegała na tym, że kiedy wróciłem do mojego domu położonego w zielonym zakątku północnego Londynu, przynajmniej przez kilka pierwszych nocy nie mogłem spać. Cisza tutaj była nienaturalna, nie było słyhać nic poza wiatrem poruszającym gałęziami dębu, a czasami hukaniem sowy, która znalazła sobie mieszkanie na dębie. Właściwie to tęskniłem za trzaskami małej broni i dudnieniem moździerzy, które kołysały mnie do snu w Sarajewie. Wyczułem, że Irlandczycy wzięli to za dowód przeciwko występowaniu stresu pola walki.

Inna zmiana polegała na tym, że wszystko, poza pewnymi osobistymi relacjami, jakoś przestało się liczyć. Nie chodziło tu o obsesję na punkcie pracy, bo przecież

pracowałem tak samo ciężko jak w innych krajach, a potem chowałem te wspomnienia jak globtroterzy. To była obsesja Bośni. Wracałem z sześciotygodniowej pracy w płonących Bałkanach, z wojny zagrażającej bezpieczeństwu Europy, nawet w okresach względnego uspienia i zawieszenia broni, a tu proszono mnie o wzięcie udziału w jednym z tych programów talkshow, którym Radio Five z upodobaniem wypełnia wieczorne godziny. Bośnia była w nim sprawą drugoplanową. Uczestników dyskusji, wielkich i dobrych ze świata brytyjskiego dziennikarstwa, bardziej interesowała pozycja eurosceptyków w rządzie oraz ogromny problem moralny, czy zwycięzca loterii krajowej ma prawo do anonimowości. Niewiele miałem do powiedzenia w tych kwestiach. Pytałem się tylko sam siebie, czy to jest mój kraj? Ba, czy to jest moja planeta?

Wina wyraźnie leżała po mojej stronie: jakiś brak proporcji, który najlepiej definiuje określenie "bośniacki syndrom abstynencki". Widziałem to u innych, zwłaszcza u dziennikarzy, ale także u żołnierzy i ludzi niosących pomoc. W batalionie księcia Walii, jednym z najlepszych, jakie mieliśmy w Vitez, nawet najlepsi ludzie po powrocie z Bośni osiągalni bardzo niskie wyniki w testach psychologicznych badających ich sprawność zawodową. Jakoś tak się stało, że zwykle obowiązki żołnierskie straciły na znaczeniu. To samo przydarzyło się, co już jest sprawą bardziej znaną, generałowi Lewisowi MacKenzie. Po odwołaniu go z Sarajewa, objął dowództwo dywizji armii kanadyjskiej. Nie ma ich tak dużo i w innej sytuacji taka nominacja oznaczałaby spełnienie życiowych ambicji. A tu rzecz dziwna, po swoich doświadczeniach w Bośni, generał przyjął nominację z niechęcią, a nawet przygnębieniem, bo w Sarajewie mógł mówić, co myśli, a w Toronto czy Ottawie, nie. Rok przed upływem kadencji odszedł ze służby, utworzył General MacKenzie Communications Inc., rozpoczynając nową karierę zawodową jako doradca armii innych krajów i komentator sił pokojowych Narodów Zjednoczonych. (Zachował także zdrowe zmysły, czego dowodem jest wielokrotna odmowa na propozycje zajęcia się polityką.)

Napisałem o potrzebie zaangażowania oraz dziennikarstwa służącego poznaniem w życiu zawodowym sprawom. Ale, rzecz jasna, trzeba zachować jakąś równowagę, bo inaczej staniemy się orędownikami przegranych spraw czy też zelotami z pianą na ustach i będziemy mniej skuteczni. Wyczułem to u siebie przy okazji talkshow Radia Five. Sprawy i sposób patrzenia na życie moich rozmówców były mi obce. Znalazłem się w niebezpiecznej pozycji wygłaszającego tyrady jak ów Stary Żeglarz, który "zatrzymuje jednego z trzech".<sup>(1)</sup> Byłoby dobrze rzucić to wszystko, oddalić na jakiś czas i popatrzeć z dalszej perspektywy.

Miałem jednak szczęście. Interweniowała Opatrzność, znana także pod postacią mojego łagodnego i sprawnego wydawcy zagranicznego Vina Raya. Potrzebował kogoś z referencjami starego wiarusa, który znał różnicę pomiędzy pamięcią a świętowaniem (rzecz zdumiewająca jak wielu nie zna tej różnicy). Chodziło o to, żebym zrobił audycję o różnych 50-letnich rocznicach upamiętniających wydarzenia mające miejsce pod koniec II wojny światowej. Zapewniłem Raya, choć mogło wydawać się coś innego, że byłem na tyle stary, by znajdować się wśród tych, którzy lądowali w Normandii. Na pewno byłem tam podczas rocznicy, kiedy to w czasie odpływu weterani paradowali przed królową na piaskach Arromanches. Maszerowali żwawo i dumnie, śpiewając piosenki obu wojen światowych. (Niestety audycja na żywo z tej uroczystości straciła na znaczeniu

za sprawą komentatora, który ciągle omawiał każdy szczegół, choć wcale nie trzeba było słów. Najtrudniejsza umiejętność w telewizji to sztuka pisania ciszy.)

Odszukałem starych przyjaciół z Suffolk, którzy lądowali w Normandii razem z trzecią dywizją brytyjską. Mało znam większych zaszczytów od słuchania starych żołnierzy, którzy przeżyli takie chwile; to jak studiowanie historii bez historyków. Maszerowali także przez Colville-Montgomery, które wyzwolili. Najstarszy, który przeżył - pułkownik-porucznik Eric Lummis, ranny w Normandii jako młodszy oficer, prowadził za sobą sześćdziesięciu starych żołnierzy w kolumnie marszowej. Zrobiłem wszystko, żeby jego komenda "Pierwsza brygada Suffolk, naprzód marsz!" znalazła się tego wieczoru w wiadomościach wieczornych o godz. 21. Najmłodszy z tych żołnierzy miał 68 lat i taka defilada się już nigdy nie powtórzy. Następnego dnia zaprosili mnie, żebym razem z nimi wziął udział w nabożeństwie żałobnym w Château de la Lande, który ongiś stanowił fortecę broni pancernej, gdzie padło wielu z ich towarzyszy. Orkiestra następcy pułku Suffolk, Royal Anglians, maszerowała wzdłuż szerokiej alei zamku, grając marsz pułkowy *Speed the Plough*. Eric Lummis serdecznie podziękował gospodarzom we własnej francuszczyźnie i odsłonił prostą tablicę pamiątkową z boku drogi. Odegrano *Ostatnią Placówkę* i oczy starych wiarusów zaszły mgłą. Oczywiście nie było to żadne świętowanie. Z 925 ludzi batalionu 103 zginęło w Normandii, a 389 zostało rannych. I tak żołnierze pułku Suffolk mieli więcej szczęścia niż inni.

Miałem w pamięci te postacie, gdy niewiele dni później uczestniczyłem w podobnej uroczystości - te same słowa, te same honory od żywych dla zmarłych, prawie ten sam pułk i uderzająco podobna tablica pamiątkowa. Tym razem jednak była to uroczystość z porządku nowego, a nie starego, świata. Tablica pamiątkowa była poświęcona pamięci Stevena Wormalda, 22-letniego kapitana Angielskiego Pułku Królewskiego, który zginął rozerwany miną w pierwszym tygodniu pobytu w Bośni. Zdarzyło się to w czasie rzekomego przerwania ognia, w jednej ze zniszczonych wiosek blisko Gornji Vakuf, na starej linii frontu pomiędzy Muzułmanami i Chorwatami. Napis na tablicy głosi, że kapitan zginął w służbie pokoju. Wydaje się, że istniała tu ponura symetria.

Po pięćdziesięciu latach przerwy armia brytyjska znowu zaangażowała się w wojnie lądowej w Europie. Nie brała bezpośredniego udziału w walce, niemniej jej żołnierze czasami tak samo narażali swoje życie, jak gdyby w niej brała udział. I nie wszystkie ofiary, jak Steven Wormald, były przypadkowe. Starszy szeregowy Wayne Edwards, pierwszy, który zginął, został umyślnie zastrzelony w luku wozu pancernego. Każdy żołnierz mógł równie dobrze stać się celem ataku podczas służby pokojowej, jak też w czasie walki.

Oczywiście te przypadki różniły się. Siły Narodów Zjednoczonych były nieliczne, złożone z ochotników. Można je było szybko odwołać, choć z pewnym trudem, albo przekształcić w coś innego. Rzecz jasna, nie chodziło o bezpieczeństwo narodowe ani też o przetrwanie narodu. Choć straszny konflikt w Bośni spowodował wielki wstrząs, to jednak nie rozprzestrzenił się w sposób istotny poza jej granice.

Była to wojna terytorialna, która rozpoczęła się od ataku silnego na słabego. Wygrała siła. Bezpieczeństwo narodowe mogło być zagrożone; po 1914 roku już nie potrzeba nam żadnej lekcji historii na temat reperkusji pierwszego strzału,

który padł w przyływie gniewu w Sarajewie. Być może najlepszą analogią będzie tu ogień, który wybuchł w południowym skrzydle naszego wspólnego europejskiego domu. Mieliśmy szansę uformować się w oddział strażacki i ugasić go albo wycofać się do naszych domów w nadziei, że ogień sam się ugasi. Naszą brygadę strażacką stanowił UNPROFOR, choć źle wyposażony i nieprzygotowany. Przyszli podpalacze w innych miejscach świata patrzyli, jak ta brygada będzie gasiła. Marnie im szło, dopóki nie oddali gaszenia pożaru w bardziej profesjonalne ręce.

Trzeba tu uwzględnić także moralny wymiar, a mianowicie czy los ofiar poruszył nas do tego stopnia, żebyśmy przestali zważać na interes narodowy. Czystka etniczna w swej najbardziej śmiertelnej formie przypomina ludobójstwo dokładnie w tym sensie, że nie jest zbrodnią dokonaną w pojedynkę. Potrzebuje współników: nie tylko w nienawiści, która zbrodnię umożliwia, lecz także w obojętności, która pozwala jej zaistnieć.

I znowu perspektywa 50 lat staje się tutaj użyteczna. Następną uroczystość, w której uczestniczyłem zawodowo, to bardzo ponura uroczystość: wyzwolenie obozu w Oświęcimiu. W żadnym miejscu, nawet w Berlinie, nie byłem tak prześladowany przez duchy przeszłości. Nowy napis na tablicy pamiątkowej w Brzezince, celowo zbudowanym obozie śmierci, w którym zginęło ponad milion Żydów, określa to miejsce jako ostrzeżenie dla ludzkości. Ci, którzy przeżyli Holocaust, zmuszeni do powrotu tam na uroczystość, nie byli jedynymi, którzy dostrzegli ciągłość pomiędzy "ostatecznymi rozwiązaniami" wówczas i obecnie i którzy doszli do wniosku, iż nikt nie wziął sobie do serca ostrzeżenia dla ludzkości.

René Guttman, naczelny rabin Strasburga we Francji prowadził modlitwę w jednej z dwóch czynnych synagog Krakowa, mieście znajdującym się najbliżej Oświęcimia (i tak się składa, że to miasto znalazło się w Liście Schindlera). Modlitwa zgromadziła 200 osób. Na wstępie rabi błędnie powitał ich w Sarajewie. Był to raczej błąd popełniony przez serce niż przez język. "Rozumiemy - powiedział rabi - że to, co się dzieje dzisiaj w Sarajewie, jest wynikiem tego, iż jesteśmy świadkami takiego samego braku tolerancji i nienawiści do ludzi, jaka panowała tutaj 50 lat temu. Instynkt holokaustu nadal niestety pozostaje w sercach niektórych ludzi".

Do tego samego nawiązał Elie Wiesel, który z pewnością zasługiwał na uwagę, jak mało kto. Wypowiedział się na ten temat pośrednio w swoim przemówieniu w Oświęcimiu, który przeżył jako jeden z nielicznych. Wiesel zwrócił się do następnego pokolenia: "Nie chcę, by moja przeszłość stała się ich przyszłością". Tę samą myśl wyraził bezpośrednio i otwarcie wobec zgromadzonych, wśród których znajdował się prezydent Clinton, w czasie otwarcia Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie: "Czego się nauczyliśmy? Otrzymaliśmy parę lekcji, może lekcji o małym znaczeniu, iż wszyscy jesteśmy odpowiedzialni i że obojętność jest grzechem i karą. Nauczyliśmy się też, iż kiedy ludzie cierpią, nie możemy pozostać obojętni. Panie Prezydencie, nie mogę się powstrzymać, żeby panu czegoś nie powiedzieć. Zeszłej jesieni byłem w byłej Jugosławii. Od tego czasu nie mogę spać. Jako Żyd mówię, że musimy coś zrobić, by powstrzymać rozlew krwi w tym kraju. Ludzie walczą ze sobą, dzieci giną. Dlaczego? Należy coś uczynić,

cokolwiek. To jest lekcja. Istnieje wiele innych lekcji. Pan przyjdzie, pan się dowie. Razem się nauczymy".

Nadal się uczymy. Trudno odeprzeć zarzut o obojętność, tak jak go sformułował Elie Wiesel. I to właśnie dlatego, że wypowiedział go on, człowiek mający do tego prawo. Naszym - zwykłych korespondentów wojennych - zadaniem jest wykonywanie codziennej pracy: gromadzenie dowodów, które sprawią, że jego ostrzeżenie stanie się ważne, naglące i konieczne. Taka praca jest i powinna być daleka od publicystycznych polemik, bowiem powinniśmy pokazać to, co znajdujemy, a nie to, czego szukamy. Jeśli nam się poszczęści, otworzymy ludziom oczy na te stare i niebezpieczne prądy, które wokół nas płyną. Jeśli nam się nie uda, ludzie będą bardziej troszczyli się o wyniki krajowej loterii.

W przypadku obecnego doświadczenia, inaczej niż w przypadku wcześniejszego ludobójstwa jeszcze okropniejszego w sensie arytmetycznym, fakty są dobrze znane i od początku udokumentowane. Byli naocznymi świadkami, są zdjęcia. Była tam telewizja. Nie możemy zasłaniać się niewiedzą. Jednakże trudność pozostaje ta sama. Jest to trudność komunikacji, jak w przepowiedni Kasandry: mówienie rzeczy niewypowiadalnych do ludzi, którzy nie chcą słuchać. I, jak zwykle, to Elie Wiesel znalazł właściwe słowa: "Drodzy przyjaciele, to nie dlatego nie rozumiecie, że ja nie potrafię wam wyjaśnić. Nie potrafię wyjaśnić, bo wy nie chcecie zrozumieć".

Pełniąc funkcję korespondenta ze świata nowego porządku byłem świadkiem dwóch testów i wyzwania dla tego porządku. Pierwszy miał miejsce w Kuwejcie, gdzie większe państwo napadło i zaanektowało mniejsze. Zachodni sojusz obiecał, że położy kres tej agresji - i obietnicy dotrzymał. (Ale Kuwejt miał ropę.) Druga próba to Bośnia, gdzie silniejszy naród zaatakował słabszy i wygnał tych, którzy jeszcze zostali przy życiu, z ziemi, na której żyli od wieków. (Ale Bośnia nie miała ropy; armia amerykańska podejmuje działania na pustyni, ale nie w górach, przynajmniej nie robiła tego, dopóki dramatycznie nie zmieniły się rozkazy pod koniec 1995 roku. Ale nawet wtedy zachowywała się ostrożnie, wykonując ograniczone operacje z minimalnym ryzykiem, kryjąc się za stalowym pierścieniem, gotowa do opuszczenia pola walki i ogłoszenia zwycięstwa dokładnie rok później. Cel Amerykanów w Bośni to triumf na wynos.)

Teraz, kiedy piszę ten tekst, dyplomacja jeszcze raz zajmuje się problemem bałkańskim; mamy traktat pokojowy oraz siły wojskowe, by go wprowadzić w życie, przynajmniej przez krótki okres czasu. Od początku sądziłem, że ten kryzys może zakończyć się na dwa sposoby: albo stabilizacja pozostałej części Europy rozciągnie się na Bałkany, albo destabilizacja Bałkanów rozciągnie się na pozostałą część Europy. Nadal istnieją te dwie możliwości. Jeśli wróci czarny scenariusz, a siły wojskowe wprowadzające pokój nie zechcą tam pozostać, wówczas zostanie zagrożone bezpieczeństwo Europy, a my będziemy pamiętać podstawową lekcję wojny, którą Bośniacy poznali na własnej skórze. To brutalna lekcja: daj broń dzieciom.

---

1. Aluzja do utworu Samuela Taylora Coleridge'a (1772-1834) zatytułowanego *Pieśń o Starym Żeglarzu*. Żeglarz przymusza jednego z biesiadników weselnych, by wysłuchał jego historii, jak to w czasie sztormu, kiedy statek znajduje się w okowach lodów Bieguna Południowego, pojawia się albatros. Cała załoga wita ptaka z radością, jako zwiastuna ocalenia. Żeglarz jednak napina łuk i zabija albatrosa. Sprowadza to nieszczęście, cała załoga ginie oprócz starego marynarza. [przyp. tłum.]

# REFLEKSJE I POSZUKIWANIA

## Jan Piekło, Syndrom bałkański - nacjonalizmy i media

Kiedy po raz pierwszy udałem się w reporterską podróż do objętych nacjonalistycznym szaleństwem krajów byłej Jugosławii, wiodła mnie tam chęć zrozumienia, dlaczego tak się stało, dlaczego wybuchła tam wojna, którą domową nazwać już nie sposób. Przez dwa lata, podróżując do Serbii, Chorwacji, Macedonii, Kosowa i Bośni, szukałem odpowiedzi na to pytanie. Rozmawiałem z prostymi ludźmi, wieśniakami, żołnierzami i dziećmi, z dziennikarzami z Belgradu, Chorwacji i z sarajewskiego "Oslobodjenja".

W wyniku tych rozmów powstał zbiór reportaży, które wydałem pod tytułem "Epitafium dla Jugosławii". Napisałem je dlatego, że narastało we mnie coraz bardziej krytyczne nastawienie wobec tego, jak dziennikarze przedstawiali konflikt na Bałkanach. Gdybym im wierzył, prawdopodobnie nie przeszłoby mi przez myśl, by jechać na tereny objęte wojną. Tam zrozumiałem, że politycy i media postawili mieszkańców poszczególnych republik byłej Jugosławii wobec faktu dokonanego - kazano im określić się etnicznie, właściwie nie pozostawiając możliwości wyboru. Zobaczyłem, jak media okazały się bezradne w przekazywaniu złożonej prawdy o konflikcie na Bałkanach i jak przysłużyły się do tego, by zantagonizować żyjące tam grupy narodowościowe. Ujrzałem mechanizmy wzniesienia wzajemnej nienawiści i budowania postaw rasowej nietolerancji. Szybko pojąłem, że w naszej okaleczonej dwiema wojnami Europie na ruinach systemów komunistycznych łatwiej przychodzi stworzyć nacjonalistyczną dyktaturę zamiast stabilnej demokracji. Wystarczy tylko czerwony sztandar zamienić na barwy narodowe, a pojęcie socjalizm na ideę Wielkiej Serbii, Chorwacji czy islamskiego państwa. Reszta może pozostać ta sama, nie trzeba żmudnie przebudowywać całej filozofii rządzenia krajem ani zmieniać mentalnych nawyków obywateli...



Zniszczony budynek biblioteki, Sarajewo  
Fot. Jan Piekło

W powojennej Europie Środkowo-Wschodniej komunizm, posługując się przemocą, terrorem psychicznym i fizycznym, zamroził wszystkie nabrzmiałe w poprzednich latach konflikty narodowościowe. Zgodnie z doktryną marksistowską nacjonalizm był czymś złym i zakazanym. Czasami jednak komunistyczni dyktatorzy używali nacjonalizmów jako narzędzia do osiągnięcia swoich celów politycznych. Tak np. postępował Nicolae Ceausescu w Rumunii czy później Slobodan Miloszević w Serbii. Również polscy komuniści - Bolesław Bierut, Władysław Gomułka, Edward Gierek czy Wojciech Jaruzelski - używali nacjonalistycznej retoryki do zapewnienia sobie społecznego poparcia.

Analizując zagadnienie nacjonalizmu, który jako termin został zożydzony przez komunistyczną, promującą internacjonalizm propagandę, należy przeciwstawić mu pojęcie patriotyzmu. Patriotyzmem możemy nazwać pożyteczną formę nacjonalizmu występującą przeważnie wśród narodów uciskanych lub podporządkowanych innym, stojącą w opozycji do skrajnych odmian postaw

nacjonalistycznych, takich jak szowinizm, faszyzm (narodowy socjalizm) czy rasizm. Rzadko zdarza się, żeby wymienione wyżej postawy występowały w swojej czystej postaci (jak np. w faszystowskich Niemczech), często wątek patriotyczny przeplata się z bardziej radykalnymi formami nacjonalizmu lub je generuje. Należy także podkreślić, że nacjonalizmy w znacznym stopniu przyczyniły się do rozmontowania systemu komunistycznego. Po runięciu muru berlińskiego i rozpadzie Związku Sowieckiego odżyły wszystkie zamrożone przez komunizm, nie rozwiązane i nabrzmiałe konflikty narodowościowe, nie spełnione idee i nacjonalistyczne tęsknoty. Kompleksy i problemy, które wydawały się historycznym folklorem, zaczęły kształtować scenę polityczną krajów byłego bloku komunistycznego. Pierwszą ofiarą tego procesu stała się Jugosławia, następną w kolejce nieuchronnie jest Rosja. Radykalizujące się nacjonalizmy tworzą liczącą się siłę polityczną także w innych krajach, również i w Europie Zachodniej. Potraktujmy przypadek Jugosławii jako ostateczne ostrzeżenie przed grozącym Europie efektem domina.

Gdyby dziesięć lat temu ktoś powiedział nam, że w Jugosławii wybuchnie wojna, zareagowalibyśmy uśmiechem niedowierzania. Może także odpowiedzielibyśmy: - Nie, to niemożliwe, to nie może się zdarzyć w powojennej Europie.

Dlaczego więc do tego doszło? Zadajmy bardziej konkretne pytanie: dlaczego media w byłej Jugosławii rozpoczęły tę wojnę?

Odpowiedzi jest więcej niż jedna. Tak jak w innych komunistycznych krajach, tak i tu dziennikarze byli podporządkowani władzy. Kiedy komunistyczni politycy - tacy jak Slobodan Milošević w Serbii czy później Franjo Tuđman w Chorwacji - pragnąc pozostać przy władzy włożyli na siebie nacjonalistyczne kostiumy, większość dziennikarzy wykonała ten sam manewr, pragnąc utrzymać swoje stanowiska. Media, zamiast uprawiać propagandę komunistyczną, zaczęły promować idee nacjonalistyczne. Retoryka i środki pozostały te same, zmienił się tylko cel. Zabroniona w czasach Tity ideologia nacjonalistyczna była dla ludzi atrakcyjniejsza, gdyż oferowała im coś nowego (lub przynajmniej nowe opakowanie dla w gruncie rzeczy tego samego totalitaryzmu). Media podgrzewały nacjonalistyczne nastroje zagrzewając ludzi do nienawiści, przygotowując ich do wojny i zabijania siebie nawzajem.



Hasła strajkowe na ulicy  
Kralja Michaljeva, Belgrad,  
październik 1992  
Fot. Robert Urbański

Zarówno prasa, jak radio i telewizja relacjonowały wydarzenia z perspektywy poszczególnych republik. Zabrakło obiektywnego czynnika, choćby prób szerszego zestawienia faktów. W rezultacie zaistniały "prawdy": serbska, chorwacka, muzułmańska, albańska i każda z nich wykluczała pozostałe. Kiedy wybuchła wojna, serbskie media nazywały Chorwatów "ustaszami", Muzułmanie zostali "islamskimi fundamentalistami", Albańczycy - "faszystami". Chorwackie i bośniackie media zaś zrobiły z Serbów "czetników"... Dziennikarze zaczęli używać terminologii z czasów II wojny światowej, przywołując klisze z przeszłości. Jugosławia cofnęła się w czasie. Młodzi chłopcy wcielili się w четников czy ustaszy i, jak ich ojcowie i dziadowie, rozpoczęli partyzancką wojnę w górach Bośni. Wśród Muzułmanów odżyła idea świętej wojny wydanej prawosławnym Serbom. Wyglądało to jak powtórka z historii,

nawet tej sięgającej średniowiecza. Przedzielony murem Berlin dwóch wrogich sobie światów to dzisiejsze serbskie i albańskie dzielnice Pristiny, stolicy Kosowa, to podzielona Bośnia.

Politycy i posłuszne im media zmusiły mieszkańców republik byłej Jugosławii do etnicznego samookreślenia się. Teraz decydują o ich losach, zakreślają granice, artykułują roszczenia terytorialne posługując się falą nienawiści, którą sprowokowali. Dziennikarze, którzy nie określili się etnicznie, utracili pracę. Dopóki media nie zaprzestaną odgrywać roli agitatora, nikt nie będzie w stanie wynegocjować prawdziwego pokoju.

Chciałbym to zilustrować. Oto kilka przykładów:

1. Znana chorwacka dziennikarka Dunja Ujević oświadczyła prosto z mostu: "Jestem gotowa kłamać dla Chorwacji". Jej punkt widzenia podzielili ochoczo inni chorwaccy dziennikarze.

2. "Zmaj od Bosni" ("Smok z Bośni") - fundamentalna islamska gazeta wydawana w bośniackim mieście Tuzla - zamieściła artykuł stwierdzający, że każdy dobry Muzułmanin powinien wybrać sobie Serba, którego zabije. Tadeusz Mazowiecki jako specjalny sprawozdawca ONZ cytował ten artykuł w jednym ze swoich raportów.

3. Serbska i chorwacka telewizja pokazywały te same ujęcia zmasakrowanych ciał cywilów. Różny był tylko komentarz. Serbski oskarżał Chorwatów o dokonanie tych zbrodni, chorwacki zaś twierdził, że popełnili je Serbowie.

4. Moskiewski sierpniowy pucz z 1991 roku wywołał entuzjazm w kontrolowanej przez rząd serbskiej telewizji. Branisław Canak, reporter, w sposób obiektywny relacjonował dla serbskiej tv wydarzenia w Rosji. Potem poinformowano go, że widzowie przysłali "mnóstwo pełnych dezaprobaty listów". Kiedy po powrocie do Belgradu Canak poprosił o pokazanie mu tych listów, okazało się, że nie było ani jednego. Potem wyrzucono go z pracy. Canak tak napisał w swoim artykule dla wydawanego na Zachodzie kwartalnika "Uncaptive Minds": "Propaganda osiągnęła poziom kulturowego i ideologicznego obłędu".

Trzeba sprawiedliwie przyznać, że w republikach byłej Jugosławii funkcjonują również media niezależne, dla których pracują pełni poświęcenia, odważni dziennikarze. Wspierające władze prasa, telewizja i radio często określają "tamtych" jako zdrajców i agentów służących obcym interesom. Przepaść pomiędzy tymi dwoma grupami jest tak głęboka, jak skrajna jest sytuacja polityczna. Istnieją media całkowicie zależne od rządu czy partii politycznej ale są także gazety o niewielkim nakładzie i stacje radiowe o skromnym zasięgu, które borykając się z mnóstwem kłopotów finansowych i produkcyjnych zachowują całkowitą niezależność. Warto wymienić kilka z nich.

W Serbii, w Belgradzie wielką popularność zjednało sobie Radio B-92, które swoim zasięgiem obejmuje tylko stolicę. Jest czymś więcej niż radiostacja, stało się ruchem społecznym, który ochrania B-92 przed władzą. Może funkcjonować, ponieważ nie stanowi zagrożenia dla Miloszevicia. Ludzie, którzy go popierają, mieszkają na prowincji. Również w Belgradzie wydawany jest tygodnik "Vreme" - główne pismo opozycyjne o ograniczonym nakładzie. Funkcjonuje niezależna



agencja prasowa "Beta" i ukazują się niezależne dzienniki - "Nasza Borba", "Demokratija", "Blic".

W Chorwacji wychodzi "Feral Tribune" - niezależna gazeta występująca "przeciw wszystkim politykom". Była najpierw satyrycznym dodatkiem do przejętego później przez partię rządzącą dużego dziennika "Slobodna Dalmacija". Potem zaczęła się ukazywać jako niezależny tygodnik. Różne partie polityczne i członkowie rządu skarżyli gazetę o pomówienia i rozpowszechnianie oszczerstw. W Splicie, w Dalmacji, funkcjonuje niezależna agencja prasowa STINA. W Zagrzebiu nadaje znienawidzona przez Tudjmana stacja radiowa 101 i wychodzi magazyn "Arkzin". Zaczął się także ukazywać wspierany przez fundację Sorosa ambitny tygodnik "Tjednik".

Legendą Sarajewa, stolicy Bośni, jest gazeta codzienna "Oslobodjenje". Pierwszym dziennikarzem, który został zastrzelony w Bośni, był korespondent "Oslobodjenja" w Zworniku. Wychodzą również magazyny: "Slobodna Bosnia", "Polikita", "Dani Magazin", w serbskiej Banja Luce ukazuje się nowy dwutygodnik "Reporter". Z Sarajewa nadaje radio FERN (Free Election Radio Network), utworzone przez OBWE z pomocą rządu szwajcarskiego.

Zasięg oddziaływania niezależnych mediów jest bardzo ograniczony. Kontrolowany przez rząd proces prywatyzacyjny oddał środki masowego przekazu w ręce osób związanych z partiami rządzącymi. Telewizja jest własnością państwa i uprawia nacjonalistyczną propagandę. Dziennikarze, którzy starają się zachowywać etycznie, wyrzucani są z pracy, oskarża się ich o szpiegostwo (w czasie wojny wcielano ich do wojska i wysyłano na front). Wielu moich rozmówców twierdziło, że nacjonalizmy utrwaliły się i są silniejsze niż na początku konfliktu.

Należy podkreślić, że również wolne media zachodniego świata przysłużyły się do destabilizacji sytuacji na Bałkanach. Współczesne dziennikarstwo ma do swojej dyspozycji najnowocześniejszą technologię i chlubi się uprawianiem obiektywnej reporterki. Wszyscy śledziliśmy relację CNN z wojny w Zatoce Perskiej. Najnowsza technika oferuje dziennikarzom niewyobrażalne ledwie kilka lat temu możliwości. Reporterzy mogli na żywo przekazywać obrazy z ostrzeliwanego Sarajewa, mogli pokazywać mordowanie i agonię ludzi, posługując się przekazem satelitarnym dostarczali do swoich redakcji tysiące informacji. Często zdarzało się jednak, że dziennikarze nie potrafili sprostać trudnemu, trzeba to przyznać, zadaniu, jakie stanowiło obiektywne relacjonowanie wydarzeń na Bałkanach. Poniżej wymieniam główne przewinienia popełniane przez zachodnich dziennikarzy zajmujących się tematyką konfliktu w krajach byłej Jugosławii:

1. **Pogoń za sensacją** - podróżując po zapalnych regionach naszego globu reporterzy koncentrują się wyłącznie na poszukiwaniu sensacyjnych obrazków, które nie wyjaśniają odbiorcy niczego. Taki reporter przylatywał samolotem do Sarajewa, nosił kuloodporną kamizelkę, nie znał języka ani historii tego regionu. Uważał się za profesjonalistę, poszukiwał dobrych ujęć zastrzelonych cywilów, filmował krew na płytach chodnika i rozwalone pociskami domy. Konstanty Gebert, dziennikarz "Gazety Wyborczej", opowiadał, że niektórzy jego zagraniczni koledzy płacili serbskim żołnierzom w Pale za to, by tamci trafili w określonym czasie w wyznaczony budynek. W ten sposób zdobywali "świetny materiał" dla

swoich wieczornych wiadomości. Pytanie, dlaczego ta wojna wybuchła, nie miało dla nich żadnego znaczenia.

2. **Uproszczenie** - szczególnie na początku konfliktu. Dziennikarze postrzegali wydarzenia z czarno-białej perspektywy. Serbowie - zatwardziali komuniści i agresorzy - byli skalani wszelkim możliwym złem, podczas gdy Chorwaci, a potem Muzułmanie byli szlachetnymi bojownikami o wielką sprawę wolności. Relacje tych reporterów pozostawały stronnicze i przyczyniały się do zaogniania konfliktu. Błąd ten popełniły także polskie środki masowego przekazu. Wkrótce Serbowie, którzy poczuli się dyskryminowani przez światowe media, zaczęli traktować zagranicznych dziennikarzy jako wrogów. Po prostu do nich strzelali... Z drugiej strony bośniaccy Muzułmanie, sfrustrowani po kolejnych nieudanych próbach prowadzonych przez Zachód pokojowych mediacji, oskarżyli dziennikarzy o cyniczne wykorzystywanie cierpień Bośniaków i przelewanej przez nich krwi w niskich celach pogoni za sensacją. Zagraniczni korespondenci szybko utracili szacunek i zaufanie wszystkich stron bałkańskiego konfliktu, niektórzy utracili również życie.

3. **Koncentrowanie się na politykach** - oni nie reprezentują interesów żyjących na Bałkanach ludzi, pragną tylko utrzymać się u władzy. Podróżując po republikach byłej Jugosławii rozmawiałem z prostymi ludźmi w Belgradzie, Sarajewie, Skopje, Pristinie, Użicach, Splicie i zadawałem im ciągle to samo pytanie:

- Kim jesteście, jaka jest wasza narodowość?

W wielu przypadkach, szczególnie w Sarajewie, otrzymywałem odpowiedź:

- Myślałem, że jestem Jugosłowianinem. Teraz już nic nie wiem. Czuję się obywatelem tego miasta (Sarajewa).

Ci, którzy tak odpowiadali, bali się - utracili przecież ojczyznę, a teraz każda z walczących stron może wziąć ich za zdrajców. Wciągnięci zostali w piekło wojny wbrew ich woli. Niewielu dziennikarzy zainteresowało się tym zjawiskiem.

4. **Ignorancja** - wielu reporterów nie zadało sobie trudu przygotowania się do udźwignięcia tego skomplikowanego tematu, nie znali historycznej genezy konfliktu. Nie wiedzieli, na przykład, że w czasie II wojny światowej około 20% zamieszkujących Bośnię Serbów zostało wymordowanych przez chorwackich ustaszów i ich muzułmańskich sojuszników, że Chorwaci z Bośni bardziej ochoczo zasilali szeregi oddziałów ustaszowskich niż ich rodacy z samej Chorwacji, a walcząca z faszystami partyzantka składała się głównie z Serbów. Nie wiedzieli także, że zamieszkujący Serbię Albańczycy popierali stworzone przez Włochów faszystowskie państwo albańskie. Nie znali historii powstania po I wojnie światowej jugosłowiańskiego państwa. W Bośni zetknąłem się z reporterem ogólnie szanowanej w Polsce gazety, który zapytał mnie o to, kto właściwie walczył z kim w tej Bośni, bo on tego nie rozumie.

5. **Fragmentaryzacja** - pokazywanie poszczególnych, nie powiązanych ze sobą obrazków bez podawania całego kontekstu. W ten sposób dziennikarz mógł łatwo dokonać manipulacji, pozyskując sympatię dla jednej ze stron konfliktu. Reporter mógł także dostarczyć odbiorcy cały szereg różnych informacji, które były jak

fragmenty wielkiej układanki. Odbiorca nie był w stanie ułożyć ich w całość i zrozumieć ogólny kontekst.

**6. Nadużywanie sarajewskiej perspektywy** - oczywiście najprościej było polecieć oenzetowskim samolotem do Sarajewa i przysłać stamtąd reportaż. Tak było znacznie bezpieczniej niż np. jechać do Pazaricia czy innej muzułmańskiej wioski położonej po drugiej stronie góry Igman. Należy jednak mieć świadomość, że życie w Sarajewie wyglądało inaczej niż w innych częściach kontrolowanej przez Muzułmanów Bośni. Sarajewo znajdowało się pod specjalną ochroną ONZ. Konflikt w Bośni, widziany wyłącznie z perspektywy Sarajewa, to tylko fragment większej całości.



**Sarajewo - odbudowywany budynek biblioteki**  
**Fot. Jan Piekło**

Niestety, trzeba przyznać, że relacjonowanie konfliktu na Bałkanach przez zagraniczne media stanowiło porażkę współczesnego dziennikarstwa. Mimo dostępu do najnowocześniejszych technologii nie sprostało ono wyzwaniu. Spowodowało natomiast, że poczęliśmy postrzegać Bałkany jak jakąś odległą krainę, którą nazywamy umownie Barbarią. Barbaria ta leży nie o półtora dnia drogi samochodem od polskiej granicy, ale gdzieś na ciemnych rozdrożach świata, na krańcach naszej mitycznej Europy, którą najchętniej zamykamy w bezpiecznym dla nas wymiarze własnego pokoju. Ekran telewizora utwierdzał nas w przekonaniu, że jesteśmy lepsi, tacy cywilizowani, w przeciwieństwie do tych bałkańskich barbarzyńców, którzy "zawsze mordowali się i będą mordować, dopóki nie wyrzną się nawzajem" (tu cytuję liczne, często wypowiedane mi do ucha poufałym półgłosem opinie naszych rodaków, którzy uważają się za intelektualistów i dobrych katolików).

Jak można zapobiec rozszerzaniu się takich postaw? Jak uniknąć rozprzestrzeniania się syndromu bałkańskiego? Nikt rozsądny nie ma wątpliwości, że trzeba w tym kierunku szybko i zdecydowanie działać korzystając z pokoju z trudem wynegocjowanego po atakach NATO w Bośni.

Po pierwsze nie można w żadnym wypadku rozważać przyszłości budowania zjednoczonej Europy bez rozwiązania kwestii Bałkanów. Bez włączenia republik byłej Jugosławii (i byłego Związku Sowieckiego) w proces integracji europejskiej wizja wspólnej Europy pozostanie tylko żalną karykaturą. Społeczeństwa tych krajów, czując się wykluczone z rodziny narodów europejskich, zareagują wzrostem nastrojów ksenofobicznych i szowinizmem. To zaś może doprowadzić wyłącznie do zaostrzenia konfliktów w tym rejonie świata, a w konsekwencji do destabilizacji Europy.

Po drugie należy wspierać z całej mocy - finansowo i moralnie - wszystkie wartościowe inicjatywy obywatelskie i społeczne (w tym wolne media), które przeciwstawiają się nacjonalizmom i opowiadają się za pokojem i demokracją. Specjalną uwagę należy poświęcić działaniom edukacyjnym i pracy z młodym pokoleniem. Operując przykładami pokazującymi rezultaty działań pozytywnych (powojenne pojednanie francusko-niemieckie, duńsko-niemieckie czy polsko-niemieckie) można łatwiej przekonać, że pokój opłaca się bardziej niż konflikt.

Po trzecie dziennikarze z taką samą gorliwością, jak relacjonowali wojnę w Bośni, powinni informować o postępach procesu pokojowego, o mozolnych, trudnych próbach budowania obszarów normalności, o zmaganiach społeczeństw republik byłej Jugosławii z autorytarną władzą, o stanie gospodarki i stanie ducha. Zamieszczanie w światowych mediach wiadomości stamtąd o charakterze pozytywnym może się przyczynić do wzmocnienia pożądaných przemian.

Wszyscy, wreszcie, wspólnie powinniśmy codziennie pracować poszerzać obszar nadziei. W końcu naszego wieku w wyniku upadku komunizmu świat stanął przed niepowtarzalną szansą stworzenia nowego, sprawiedliwszego porządku globalnego. Dla okaleczonej wojnami Europy świat nowego tysiąclecia może i powinien być zwiastunem pokoju. Obowiązkiem mediów jest zaś uzmysłwić ludziom, że to zależy od każdego z nas z osobna.

W tym roku uczestniczyłem w spotkaniu zorganizowanym przez International Communications Forum, międzynarodowej organizacji zrzeszającej ludzi mediów prowadzącej projekt mający na celu pomoc w integracji środowisk dziennikarskich krajów byłej Jugosławii. Spotkanie odbyło się w Caux, w Szwajcarii. Uczestniczyli w nim dziennikarze z Serbii i Chorwacji. Wcześniej misja ICF odwiedziła Belgrad, Zagrzeb i Sarajewo. Wspólnie z kolegami z Serbii, Chorwacji i Bośni zgodziliśmy się, że każdy z nas winien wnieść swój wkład w dzieło pojednania. Projekt będzie kontynuowany.

## Urs Altermatt, Sarajewo nie jest odosobnionym przypadkiem

Sarajewo nie jest odosobnionym wypadkiem w dziejach Europy. Stolica Bośni należy do długiego szeregu miejscowości, które na mapie dziejów najnowszych jawią się jako ostrzeżenie przed podziałami etnicznymi i rasistowskimi przesiedleniami, przed obozami koncentracyjnymi, wojnami domowymi i zbrodniami ludobójstwa: Konstantynopol, Oświęcim, Katyń, Belfast, Nikozja, Hoyerswerda...



Sarajewo, czerwiec 1994  
Fot. Robert Urbański

W zimowym numerze europejskiego czasopisma kulturalnego "Lettre" z 1995 roku, poświęconego problematyce bośniackiej, Jean Baudrillard napisał, że wydarzenia w byłej Jugosławii stanowią "fazę w logicznej ewolucji nowego porządku europejskiego". "Serbowie, jako autorzy 'czystek etnicznych', stanowią szpicę Europy, która właśnie się formuje". Choć trudno odmówić racji francuskiemu filozofowi, to jednak myli się on w zasadniczym punkcie: etnonacjonalistyczne szaleństwo nie jest niczym nowym w europejskich dziejach. Europa już od XIX wieku przechodzi postępujący proces etniczacji.

"Apartheid" - oto zasada, która w XX wieku krzewi się na całym kontynencie europejskim. W epoce masowej komunikacji i masowego transportu, Internetu i kultury pop proces ten wydaje się paradoksem. W Europie jeszcze nigdy tak wielu ludzi nie łączyło tak wiele zależności i powiązań. A jednak im bardziej kraje europejskie upodabniają się do siebie technicznie i ekonomicznie, tym więcej ludzi czuje się zagrożonymi w swej tożsamości kulturowej i chce się jakoś odróżnić od innych. O ile w sferze konsumpcji i gospodarki Europejczycy wzajemnie się do siebie dostosowują, o tyle w sferze kultury dochodzi do swego rodzaju rebelii przeciwko globalizacji. Z obawy przed utratą swej tożsamości kulturowej mieszkańcy poszczególnych krajów wzajemnie się od siebie izolują, wnoszą etnonacjonalistyczne twierdze i wykorzystują różnice kulturowe jako pretekst do izolowania obcych. Europa cierpi na nowotwór tożsamości, którego przerzuty zaczynają pokrywać całą mapę naszego kontynentu. Urodzony w Mostarze w 1932 roku, a nauczający w Zagrzebiu i Paryżu, literaturoznawca i pisarz Pedrag Matvejević stwierdza, że tożsamość istnienia bierze górę nad tożsamością działania. Tożsamość ta często jest tylko sztafązem, graniczącym z karykaturalną retoryką, która ponad wszelką miarę eksponuje znaczenie przeszłości narodowej i pochodzenia narodowego. W istocie rzeczy Sarajewo jest również naszą winą, naszą europejską tragedią.

Wydarzenia, które u końca XX wieku rozgrywają się na Bałkanach i na Kaukazie, stanowią brutalną radykalizację patologii normalnej codzienności europejskiej. Mieszkańcy Europy Zachodniej, a także Europy Centralnej patrzą na południowy Wschód z faryzejską megalomanią, nie zdając sobie sprawy, że w nieco łagodniejszej formie kierują się podobną ideą czystek i podziałów "etnicznych" i "kulturowych", co więcej, że udało się im ją w znacznym stopniu urzeczywistnić na zajmowanych przez siebie terytoriach. Nie mówiąc już o straszliwym mordzie, którego w XX wieku w imię narodu niemieckiego nazistowskie Niemcy dopuściły się na kilku milionach europejskich Żydów. Współodpowiedzialność całej Europy

za tę straszliwą zbrodnię przeciwko ludzkości unaocznia okoliczność, że stempel z literą "J" w paszporcie Niemców, którzy według ustaw nazistowskiego reżymu byli Żydami, wprowadzono na życzenie szwajcarskiej biurokracji.



Sarajewo, czerwiec 1994  
Fot. Robert Urbański

Europejczycy okazali się zupełnie nie przygotowani na możliwość konfliktu wojennego w byłej Jugosławii. W żalonym koncercie niemocy zupełnie zawiodły instytucje Unii Europejskiej, która z mniejszą czy większą becznością przyglądała się polityce "czystek etnicznych". Już na samym początku konflikt reanimował stare schematy nacjonalistyczne: Niemcy stanęły po stronie Chorwacji, Francuzi udzielali wsparcia Serbom. Gdy Europa Zachodnia dostrzegła nacjonalistyczną pułapkę, wojna w byłej Jugosławii osiągnęła już taki poziom eskalacji, że jedynie Amerykanie, choć długo zwlekali z interwencją, byli zdolni powstrzymać wszystkie strony konfliktu. Wielkie mocarstwa doprowadziły wprawdzie do zakończenia wojny, ale poprzez umowę z Dayton i Paryża stały się pośrednim autorem nowych granic, wywalczonych siłą oręża. Spokój geopolityczny okupiono podziałem etnicznym. Trudno się zatem dziwić, że exodus tysięcy Serbów z Krainy, wymuszony przez armię chorwacką, nie zwrócił większej uwagi międzynarodowej opinii publicznej, choć amerykański "Time" określił go jako "the largest single incident of ethnic cleansing since the Balkan wars began in 1991". Cele, którymi kierowały się strony konfliktu, nie uległy zmianie. W żadnym razie nie wyblakły idee Wielkiej Serbii i Wielkiej Chorwacji, między którymi niełatwo będzie się utrzymać niewielkiej federacji bośniacko-muzułmańskiej.



Market, Szabac, maj 1994  
Fot. Robert Urbański

Jeszcze nigdy tak wielu ludziom nie powodziło się tak dobrze, jak w drugiej połowie naszego "stulecia skrajności". Mimo to podzielam zdanie angielskiego historyka Erica Hobsbawma, który wiek XX nazwał "najbardziej ze wszystkich morderczym". Jednym z głównych powodów barbarzyńskich katastrof naszego stulecia było etnonacjonalistyczne szaleństwo, które kilkakrotnie ogarnęło Europę niczym napad choroby. Pod koniec XX wieku wiele regionów naszego kontynentu przeżywa nawrót tej zarazy. Z upadkiem komunizmu w Europie Wschodniej kwestia narodowa z niespodziewanym impetem znów znalazła się na porządku dnia konferencji europejskich. Na Zachodzie Europy społeczeństwa poszczególnych krajów ogarnia fala ksenofobii, antysemityzmu i rasizmu. Dzięki wstrząsom na kontynencie europejskim wyraźniej ukazały się etniczne aspekty konfliktów na innych kontynentach, na przykład w Afganistanie, w Kurdystanie czy w Ruandzie i Somalii, jak również etniczno-religijne motywy aktów agresji na subkontynencie indyjskim i rebelii autochtonów, poczynając od australijskich Aborygenów, a kończąc na meksykańskich Indianach ze stanu Chiapas. Choć politykę światową stale pochłaniają inne problemy, takie jak nędza, ochrona środowiska, terroryzm i zorganizowana przestępczość, to jednak konflikty etnonarodowe u końca XX wieku zaczynają budzić obawy. Zdaniem wielu współczesnych obserwatorów stanowią one najpoważniejsze wyzwanie dla pokoju międzynarodowego.

# Adnan Silajdžić, Islam, Bośnia i dylematy współczesności

prof. Adnanem Silajdžićem, teologiem Fakultetu Nauk Islamskich w Sarajewie, rozmawia Olga Stanisławska

Sarajewo, gdzie od pięciu wieków spotykają się cztery Abrahamowe religie, to Europa w miniaturze. Islam - czy trzeba to przypominać? - był i jest integralną częścią Europy, jednym z kamieni wbudowanych w mozaikę jej tradycji.



Sarajewo - kobiety modlące się przed meczetem  
Fot. Jan Piekło

Słyszymy często orientalistów i politologów mówiących o problemach islamu. Rzadko zdarza się okazja, by usłyszeć głos muzułmańskiego teologa - głos płynący z samego centrum tej religii. Prof. Silajdžić dotyka największego dylematu, jaki staje dziś przed wszelką religią - strategii spotkania z laicką nowoczesnością. Adaptacja czy konfrontacja? Ewolucja czy próba powrotu do mitycznego złotego wieku swojej wiary? To właśnie

w tym miejscu, w zderzeniu z problemami współczesności, rodzi się fundamentalizm - odruch obronny wobec świata, który wydaje się groźbą. W tym miejscu leży jednak także - jak twierdzi mój rozmówca - prawdziwa szansa religii. Dialog między wyznaniem zajmuje tu, jego zdaniem, kluczowe miejsce. Prof. Silajdžić sięga ponad bieżący, polityczny i społeczny wymiar dramatów targających islamem, prowadząc nas do samych źródeł debaty toczącej się w jego łonie.

**Olga Stanisławska:** Czy współczesne dylematy islamu podobne są do tych, jakie świat stawia dziś przed innymi wyznaniem?

**Prof. Adnan Silajdžić:** Muzułmanie, podobnie jak chrześcijanie i wyznawcy innych wielkich religii, przechodzą przez podwójny kryzys, typowy dla naszego wieku - kryzys obecności i kryzys tożsamości. Jedno wiąże się z drugim. Im bardziej jakaś tradycja religijna próbuje się stać ważnym punktem odniesienia w świeckiej teraźniejszości, tym głębiej wikła się w kryzys własnej tożsamości, i na odwrót - im bardziej stara się potwierdzić swą tożsamość w ściśle tradycyjnym ujęciu, tym mniej jest obecna we współczesnym świeckim społeczeństwie. Muzułmanie stoją przed podstawowym dylematem - jak umiejscowić islam w społeczeństwie świeckim? Czy laicyzacja nie unicestwi na dłuższą metę samej substancji islamu, czy nie doprowadzi do jego rozpadu? Ale czy istnieje jakieś inne wyjście?

Sądzę, że do stworzenia modelu islamu w postmodernistycznym świecie nie jest potrzebna ani bezwarunkowa adaptacja do osiągnięć zachodniej cywilizacji, ani też bezkrytyczna, ślepa wierność własnej przeszłości i tradycji ("taqlid"). Istnieje inne rozwiązanie i teologowie muzułmańscy toczą dziś ożywioną dyskusję na jego temat. Byłaby to perspektywiczna, funkcjonalna raczej niż strukturalna transformacja islamu jako religii. Chodzi o religijność w laickości, w której islam zająłby się swoim pierwotnym zadaniem. Religia zdobyłaby przy tym zupełnie nowe znaczenie społeczne i zyskała nową szansę.

Jedno jest pewne - muzułmanie muszą zrozumieć, że żyją wewnątrz kultury świeckiego humanizmu, kultury, która dzięki swym osiągnięciom zdobyła dominujący wpływ na prądy myślowe całego świata. Tej epoki kulturowo-histerycznej nie możemy zamienić sztucznie na jakąś inną epokę. Nie możemy się cofnąć w czasie...

### ***Wiara i rozum***

#### **O. Stanisławska: Co zatem życie w naszej epoce w praktyce oznacza dla islamu?**

**A. Silajdzić:** Muzułmanie nie mogą bezkrytycznie przyjmować fałszywych wartości permissywnej zachodniej cywilizacji jako "postępu". Muszą przyjąć jej wiedzę i jej rozwój technologiczny, ale dopiero wtedy, kiedy zostaną one, jak to trafnie nazywa Max Weber, "zdemistyfikowane". Przecież i islam mógł rozwinąć swoją współczesną naukę i technikę, lecz - jak słusznie zauważa Weizsäcker - nie chciał. Muzułmanie mieli wysoko postawioną matematykę, nauki przyrodnicze, kosmologię, a jednak nie przeszli przez rewolucję naukową i technologiczną. Dlaczego pojawiła się ona we Francji, Anglii czy w Niemczech, a nie w Persji? Trudno dać zadowalającą odpowiedź. Myślę jednak, że naukowe i przemysłowe rewolucje pojawiają się tam, gdzie człowiekowi i światu odbiera się charakter świętości, gdzie ludzki rozum oddziela się od intelektu, czyli Objawienia.

Co ludziom Zachodu najtrudniej zrozumieć w islamie? Myślę, że jest to zdolność islamu do scalenia obu, pozornie osobnych połówek rzeczywistości w jednym jedynym Centrum - inaczej mówiąc to zainteresowanie, jakie islam żywi i dla sacrum, i dla profanum. Cała myśl islamska i islamski sposób życia skupia się w naczelnej zasadzie harmonii, zarówno fizycznej, jak i duchowej. W islamie nigdy nie zdarzył się renesans, przez jaki przeszła Europa - stojący pod znakiem buntu przeciw Naturze, przeciw Bogu i przeciw Niebu, gdy uzurpując sobie najwyższe przywileje względem Boga i świata, człowiek zaczął niszczyć świat za pomocą własnych, rzekomo absolutnych praw...

Czy pozytywne zdobycze zachodniej cywilizacji nie stanowią groźby dla islamu i tradycyjnego doświadczenia muzułmanów? W ich pozytywistycznym wymiarze, odpowiedziałbym - owszem. W wymiarze metafizycznym, czyli po przeprowadzeniu owej demistyfikacji, o jakiej wspomniałem - nie! Stoimy tu przed jednym z możliwych paradygmatów współczesnego rozumienia religii - laickość przed horyzontem religijnym. A zatem nie bezwzględna walka przeciw wiedzy, technice i postępowi, ale również i nie walka o wiedzę, technologię i uprzemysłowienie jako ostateczny cel istnienia człowieka.

Takie stanowisko pozwoliłoby zachować religijną substancję islamu i dać nową szansę współczesnemu człowiekowi. Stworzyć nowy model islamskiego rozumienia świata, ujmujący wszystkie pozytywne osiągnięcia zachodniej cywilizacji we własnym doświadczeniu religijnym. W ten sposób Chomeini nie gorszyłby Zachodu swą koncepcją sakralizacji społeczeństwa, a i sam Zachód nie gorszyłby muzułmanów, którzy są głęboko osadzeni w tradycyjnym świecie symboli.





Zagrzeb - katedra  
Fot. Jan Piekło

**O. Stanisławska:** Wiara tradycyjna, "ludowa", jaka żyje w społeczeństwie, oddala się czasem od "islamowi wysokiego", praktykowanego przez teologów. Czy ten wewnętrzny dystans nie utrudni przemian, o jakich Pan mówi? Jak na przykład ta kwestia wygląda dziś w Bośni?

**A. Silajdžić:** Rozumienie, a tym samym i praktyka islamu wśród bośniackich muzułmanów rzeczywiście znały wielką rozpiętość - od pierwotnego fideizmu, jaki dominował w okresie panowania tureckiego i częściowo za Austro-Węgier, aż po pozytywistyczny racjonalizm naszego stulecia. Była to zarazem rozpiętość pomiędzy irracjonalną i statyczną wiarą, która nie interesowała się pośrednictwem rozumu, a islamem zlaicyzowanym czy wręcz areligijnym, sprowadzanym wyłącznie do swoich historycznych i kulturowych przejawów.

Niestety, mało kto miał pełną świadomość faktu, że w rozwoju wiary i wiedzy o wierze istnieje swoisty dialektyczny proces - współzależność wiary, która tęskni za zrozumieniem, i rozumu, który wierzy. Jako że Bóg swoim Objawieniem "dźwiga ku górze człowieka obdarzonego rozumem", człowieczy rozum siłą rzeczy staje przed wyzwaniem, by rozmyślać o prawdach objawionych, nawet jeśli go to przerasta.

Podobnie jak i w innych zakątkach świata, tak i u nas w Bośni stawiano pytania na temat wiary i wiedzy - co to znaczy wierzyć w Boga i wiedzieć coś o Bogu? Pytanie to dotyka również wzajemnego stosunku pomiędzy żywą, czyli pozytywną, wiarą a wiedzą o wierze, czyli teologią. Pytania te zaostrzyły się jeszcze w XIX wieku, w erze agnostycyzmu, pozytywizmu i empiryzmu. Niestety nie mieliśmy dość wykształconych i zdolnych teologów, by mogli z pozycji tych ważnych kierunków zachodnioeuropejskiej myśli zbadać fenomen religii w ogólności, a islamu w szczególności. Gdybyśmy dysponowali krytycznymi studiami poświęconymi temu problemowi, znacznie łatwiej byłoby nam dziś przebyć drogę duchowej i kulturowej odnowy, której proces rozpoczął się przed dwoma dziesięcioleciemiami.

Muhammad a.s.<sup>(\*)</sup> w swoich licznych przekazach-hadisach, mówił, że chociaż ani u poszczególnego człowieka, ani też w ujęciu całościowym islam jako wiara nie da się sprowadzić do kwestii rozumu, to jednak nie tylko nie sprzeciwia się pośrednictwu rozumu, lecz wprost przeciwnie, zakłada takie pośrednictwo, a nawet go wymaga. Bardzo szeroka jest treść wiary, jaką definiował Wysłannik islamu. Składa się z sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu gałęzi czy stopni. Za najniższy ze stopni, który nie wymaga wielkiego umysłu ani zdolności, uważa się zdjęcie ze ścieżki przeszkody, aby ułatwić przejście innemu przechodniowi. Najwyższym stopniem świadomości religijnej i poznania religijnego jest natomiast głoszenie, że Bóg jest najwyższym ideałem etycznym, gdyż do tego stopnia poznania potrzebne są emocjonalne, duchowe i intelektualne zdolności człowieka. Dlatego właśnie dojrzewanie emocjonalne, duchowe i intelektualne w islamie ujęte zostało w pojęciu dżihadu...

## *Czym jest dżihad?*

### **O. Stanisławska: Dżihad - co naprawdę oznacza to słowo?**

**A. Silajdzić:** To słowo, które jest dziś w powszechnym użyciu. Znajdujemy je w gazetach, słyszymy w radiu i telewizji, pojawia się podczas zgromadzeń naukowych, w wywiadach i komentarzach politycznych. Bardzo często nadaje mu się przy tym nieściśle i w dodatku negatywne, agresywne znaczenie. Szczególnie podkreślają je ci, którzy w dżihadzie dopatrują się wielkiego zagrożenia, w obronie przed którym trzeba ujarzmić narody muzułmańskie.

Brutalna agresja na muzułmanów Bośni i Hercegowiny dobrze pokazuje skrajne skutki takiej postawy. Jej zwolennicy pragną wpoić w światową opinię publiczną błędne przekonanie, że normatywne źródła islamu wymagają od wiernych, by siłą zbrojną narzucali innym doktrynę swej wiary i swój sposób życia, a co więcej, zabijali tych, którzy nie uznają islamu za swoją religię. Dlatego właśnie na Zachodzie słowu "dżihad" przyporządkowuje się negatywne określenie "święta wojna" - określenie, które swym znaczeniem bynajmniej nie wyraża całej treści, zawartej w koranicznym pojęciu "dżihadu".

Słowo to wywodzi się bowiem od czasownika "dżehede", który oznacza "trudzić się", "starać się". Dlatego w religijno-teologicznym znaczeniu "dżihad" oznacza duchowe, emocjonalne i intelektualne zaangażowanie człowieka w świecie. W Koranie słowo to używane jest jako przeciwieństwo słowa "qu'ud", które oznacza marazm, gnuśność, i defetyzm.

Mówiąc dokładniej, "dżihad" oznacza z jednej strony wszelki wysiłek, który przeciwstawia się złu w świecie, bez względu na jego postać, z drugiej zaś strony wszelkie dążenie do uszlachetnienia harmonii świata. Niech nas zatem nie dziwi, że do przykładów dżihadu - czyli pozytywnej, aktywnej wiary - Wysłannik zaliczył mówienie prawdy w obliczu władcy, poszukiwanie wiedzy, rodzenie dzieci, podróże mające na celu szerzenie pokoju i wiedzy czy też walkę z własnymi namiętnościami. Właśnie w tym kontekście sytuuje się słynny hadis: "Powróciliśmy z małego dżihadu (wojny) do wielkiego dżihadu (przeciw złu w świecie i własnym namiętnościom, przez które człowiek może utracić świadomość własnych metafizycznych źródeł)".

Oskarża się nas na Zachodzie, że prowadzimy dżihad. Trzymając się autentycznej definicji i rzeczywistej zawartości pojęcia dżihadu mógłbym bez zażenowania odpowiedzieć, że niestety przez ostatnie wieki swej historii muzułmanie nie prowadzili dżihadu. Koncepcję "idżtihadu", interpretacyjnego wysiłku ludzkiego umysłu, zastąpili koncepcją "taqlidu", bezkrytycznego powtarzania tradycji. W ten właśnie sposób przeszli od dynamicznego do statycznego i mechanicznego pojmowania własnej wiary i dziejów. Tak zrodziła się świadomość pozbawiona krytycyzmu i poczucia historii.

W efekcie muzułmanie zaczęli być marginalizowani jako czynnik społeczny, kulturalny i polityczny i traktowani instrumentalnie w globalnych przetargach. Inni narzucali im status społeczny i polityczny, póki w XIX wieku nie zaczęły pojawiać się ruchy reformatorskie, podobne do tych, jakie wcześniej w Europie przyniosły głębokie przemiany - humanizm, renesans, oświecenie czy francuską rewolucję...



## O. Stanisławska: Czy podobnie kształtowała się duchowa historia islamu także w Bośni?

A. Silajdžić: Islam w Bośni istnieje już od kilku wieków. Nie będę zatem wspominał o tym, w jaki sposób wykształcił się jako samoistna wiara i nauka we wcześniejszych epokach historycznych - istotne, że dziś przed muzułmanami-Bośniakami wiara ta jawi się jako wyzwanie, którego nie można odrzucić. Przez kryzys przechodzą dziś wszyscy muzułmanie, bez wyjątku. I my, Bośniacy, również stoimy na rozdrożu pomiędzy tradycją a nowoczesnością. Czas zaś nieubłaganie płynie. Muzułmanie w Bośni muszą wreszcie zrozumieć, że nie

są narodem eschatologicznym, któremu na początku i na końcu dziejów obiecano królestwo niebieskie, lecz że wchodzi w świat historii z obowiązkiem, aby zbudować go na miarę swego Stwórcy, czyli według najwyższych wartości etycznych.

W postmodernistycznej europejskiej kulturze muzułmanie Bośni i Hercegowiny muszą stworzyć szczególny wzorzec kulturowy islamu, przez który dadzą się poznać w muzułmańskiej przestrzeni kulturowo-cywilizacyjnej. Będą oni, rzecz jasna, budować zarazem duchowe i ideowe więzi z resztą świata muzułmańskiego, ale nie będzie to oznaczać zagrożenia dla ich własnych kulturalnych i religijnych instytucji, które do tej pory były ich specyfiką. Rozpoczął się proces odnowy, a jego tempo i jakość zależy przede wszystkim od nich.

### *Bóg nie potrzebuje teologów*

## O. Stanisławska: Jak widzi Pan w tym procesie swoją rolę - rolę teologa?

A. Silajdžić: Dotknęła pani ważnego problemu, o którym mało się mówi. W sercu teologii stać powinien człowiek - żyjący tu i teraz, i może ten przyszły. Teologia nie powstała dla Boga, ale dla człowieka - Bóg nie potrzebuje teologów.

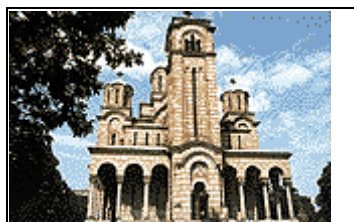
W Bośni muzułmanie, podobnie jak prawosławni, nie rozwijali swojej teologii tak, jak czynili to katolicy. Utrzymywali się raczej w ogólnych trendach islamskiej teologii na świecie, lecz nie wypełniali w pełni owego podstawowego zadania teologii, jakim jest interpretacja świętego tekstu, który stanowi u nas Koran i hadisy, dla potrzeb współczesnego im człowieka.

I to potrzebom człowieka, jaki żyje dziś w Bośni i Hercegowinie, powinniśmy się teraz poświęcić, a nie tylko abstrakcyjnym spekulacjom nad pojęciami bytu i niebytu w dziełach dawnych teologów, jakimi, muszę się pani przyznać, także i ja się zajmuję... Częścią obowiązku teologa jest rozmowa z ludźmi. Dlatego staram się nie unikać rozmów. Uciekają od nich niestety ci, których specjalizacja jest zbyt wąska albo wiedza niedostateczna, by odpowiedzieć ludziom na ich pytania.

Przyszłych teologów uczy się dziś historii religii, co obejmuje nie tylko historię judaizmu i chrześcijaństwa, lecz także tych cywilizacji, których kulturę islam asymilował, jak starożytny Rzym i Grecja, a w Bośni także zachodnioeuropejska

tradycja filozoficzna. Być może jednak odpowiedzią byłoby jeszcze szersze wykształcenie teologów, by potrafili objąć wszystkie te doświadczenia, jakie kształtują współczesnego człowieka wierzącego? Przede wszystkim trzeba jednak zmienić ten mechanizm świadomości, który każe tylko powtarzać stare, zużyte recepcje świętego tekstu. Islam nie jest bowiem religią statyczną, wbrew temu, co mówią zachodni orientaliści, którzy niestety często upraszczają zarówno samą istotę islamu, jak i ducha, który ożywia jego kulturę i cywilizację. Teologowie muszą tu i teraz, na gorącym gruncie Europy, poprowadzić nas przez podstawowe źródła islamu - to najważniejsze zadanie, jakie teologia stawia ludziom, którzy zajmują się islamem *ex professio*. Muszą opuścić swoje meczety, pustelnie, gabinety i wyjść na spotkanie ludzi, rozmawiać z nimi, wyzwalać ich z ciężącego osadu ludowej, folklorystycznej świadomości religijnej. Jednym słowem, muszą ich stopniowo wprowadzać w jak najszersze, oparte na dialogu spotkanie ze współczesnym światem, w którym żyją.

### *Dialog i pokój*



Cerkiew św. Marka,  
Belgrad  
Fot. Jan Piekło

**O. Stanisławska:** Czy uważa Pan, że dialog pomiędzy religiami jest we współczesnym świecie istotny? Jaki jest jego sens?

**A. Silajdžić:** Jest to jedno z najważniejszych pytań dzisiejszego świata. Po co w ogóle ten dialog? - zastanawiają się niektórzy teologowie. Tymczasem w islamie paradygmatem dialogu jest postawa Muhammada a.s., który kontaktując się z żydami i chrześcijanami widział przede wszystkim wspólną im

ideę - wiarę w jednego Boga. To ona jest podstawą wszystkich trzech monoteizmów. Niezależnie od tego, jak ich filozofia rozwiązuje kwestię jedności (chrześcijaństwo uznaje na przykład trzy hipostazy Boga w Trójcy), w kościele, cerkwi, synagodze czy meczecie człowiek chyli czoło przed jednym Bogiem.

Rozmowa z Ludami Księgi (jak nazywamy żydów i chrześcijan) nie jest więc dla muzułmanów uwarunkowana jedynie problemami dzisiejszego świata. Wymaganie takiego dialogu płynie z samej natury islamu. To podstawowy nakaz, zawarty już w Koranie. Powiedziano tam: "O ludu Księgi! Dochodźcie do słowa jednakowego dla was i dla nas: abyśmy nie dodawali Jemu niczego za współtowarzyszy i aby jedni z nas nie brali sobie innych jako panów, poza Bogiem" (Koran, 3,64).

Według muzułmańskich komentatorów Koranu tekst ten nie zwraca się do żydów i chrześcijan jako wyznawców religii (*institutio vitae*) ani też jako przedstawicieli określonej teologiczno-filozoficznej postawy myślowej. Zwraca się do nich jako do osób związanych z owym jedynym Bożym przekazem, który ma wspólne transcendentne źródło i w którym tkwią fundamenty jednej, jedynej historii objawiania słowa Bożego.

Stąd właśnie Objawienie wzywa niemuzułmanów, aby skupili się wokół jednego słowa Bożego, jeszcze przed wszelkim mówieniem o Bogu, przed wszelkim poznaniem Boga i przed wszelkim myśleniem o Bogu. A zatem też przed wszelką teologią, wszelką teodyceą i przed wszelką filozofią. Bo przed tym wszystkim stoi najwyższy nakaz: "Czujcie mnie! To jest droga prosta" (Koran, 36,61).

Muzułmanie i chrześcijanie muszą dziś zrozumieć, że wiara w Jednego Boga stanowi dostateczny powód do dialogu. To ona zobowiązuje do wzajemnego poznawania się, do wspólnego życia w świecie. Na niej trzeba więc ten dialog oprzeć. Nie może on przebiegać tylko w poziomie, w codziennym życiu, w polityce, która u nas, w Bośni, zdominowała teraz codzienność. Bez znajomości historii i fundamentów własnej i cudzej wiary ów dialog nie jest możliwy. Musi on toczyć się także w pionie, w zjednoczeniu z Bogiem i w wierności Bogu. Chodzi bowiem w istocie o dialog jednych i drugich z Bogiem.

#### **O. Stanisławska: Czy dzisiejszy świat stwarza warunki takiego dialogu?**

**A. Silajdžić:** Dialog międzywyznaniowy ma dziś także przyczyny kulturowe. W ciągu paru ostatnich dziesięcioleci Zachód, rozumiany jako pewne zjawisko metafizyczno-religijne, przeżywa poważne przemiany. Porzuciwszy izolacjonizm kulturowy, cywilizacyjny, a przede wszystkim religijny, świat ruszył drogą świadomości ekumenicznej. Dlatego Sayyid Hossein Nasr ma w zupełności rację, kiedy mówi, że przemieszczanie się z jednego uniwersum religijnego w inne jest nowym doświadczeniem człowieka XX wieku.

Dzisiejszy świat w całości żyje pod znakiem pluralizmu. Nie ma bodaj jednego miejsca, w którym żyliby wyłącznie członkowie jednej tradycji religijnej. Największym osiągnięciem zachodniej cywilizacji jest jej uniwersalizm - planetarny charakter cywilizacji, która dotarła wszędzie, stwarzając pole do wymiany kulturowej. Nawet w Arabii Saudyjskiej - poza Mekką i Medyną, uznanymi za święte miejsca islamu - pracują specjaliści z Zachodu. Nie ma już zatem owego zwyczajowego podziału na Wschód i Zachód. Nowoczesna myśl teologiczna i filozoficzna musi brać pod uwagę wyzwania czasu - odkąd ludzie zaczęli w codziennym środowisku życia i pracy spotykać przedstawicieli innych tradycji religijnych i kulturalnych, pytanie o postawę wobec nich nabrało szczególnej wagi. Proces dialogu międzywyznaniowego pomiędzy członkami wielkich religii świata już się rozpoczął, a jego skutków trzeba spodziewać się w XXI wieku.

#### *Paradoks wspólnych korzeni*

#### **O. Stanisławska: Czy, paradoksalnie, wspólne korzenie naszych religii nie utrudniają dialogu? Jak wyzwolić się z brzemienia historii i wzajemnych uprzedzeń?**

**A. Silajdžić:** Nie lekceważąc pozytywnych przykładów, których na przestrzeni dziejów było z pewnością wiele po obu stronach, trzeba powiedzieć, że dotychczas spotkanie między religiami odbywało się pod znakiem ich wyłączności. Nim nastąpiły współczesne czasy, zachodni świat chrześcijański był niejako izolowany w swoim zakątku Eurazji. To sprawiało, że zachodnie chrześcijaństwo nie spotykało się z innymi tradycjami religijnymi, szczególnie z islamem. Islam natomiast już w miejscu swego powstania stykał się z chrześcijaństwem i judaizmem. Odmiennie doświadczenia historyczne musiały mieć wpływ na wzajemną postawę naszych religii wobec siebie.

Oparty na ignorancji stosunek do islamu sięgał korzeniami wczesnej historii chrześcijaństwa. Wypaczony obraz islamu i muzułmanów znajdujemy przede wszystkim w polemicznych tekstach bizantyjskich myślicieli, jak Jan

Damasceniński, Nicetas Byzantios, Bartłomiej z Edessy. Islam przedstawia się tu jako fałszerstwo idei Starego i Nowego Testamentu, Muhammada opisuje jako szarlatana, a na dodatek rozpoznaje się w jego osobie Bestię z Apokalipsy świętego Jana. Niestety zarówno Kościół prawosławny (Georgij Florowski i Władimir Łosski), jak i pewne kręgi ewangeliczne (W. C. Smith i Marius Baar) pozostają głęboko zakorzenione w swym tradycjonalizmie i do tej pory opierają swoje stanowisko wobec muzułmanów i innych religii na tradycjach sięgających wczesnych dziejów Kościoła. Ogólnie jednak, jak ujął to Hans Küng, stanowisko chrześcijan wobec muzułmanów rozwijało się od ignorancji przez arogancję ku tolerancji, jaką osiągnięto w XIX i XX wieku. Od czasu II Soboru Watykańskiego ("Nostra aetate" i "Lumen Gentium") islam nie jest już postrzegany jako religia synkretyczna, zaś Muhammad a.s. przestał być kłamcą, oszustem i Antychrystem. Jest, podobnie jak prorocy starotestamentowi, człowiekiem, który z boskiej inspiracji napomina świat. Muzułmańscy teologowie podkreślają to z radością.

A jednak już dziś możemy powiedzieć, że i ta droga jest w pewien sposób za nami. Elementy, które legły u podstaw spotkania wielkich religii - identyczny niebiański archetyp i jego historyczne postaci w Koranie i Biblii - nie są już dziś czynnikiem decydującym. Nawet teologia zwieńczenia Karla Rahnera, dotycząca teologiczno-zbawczego charakteru religii niechrześcijańskich, odgrywa tu mniejszą rolę. Religie wchodzi dziś w dialog poprzez humanizację i zbawianie świata takiego, jaki jest. Dla dialogu liczy się dziś to, na ile religie te biorą pod uwagę nas samych, w jakiej mierze troszczą się o nasze własne losy. Sądzę, że w naszej epoce - epoce techniki w służbie ludobójstwa - właśnie ta strona dialogu międzywyznaniowego jest istotniejsza od czysto akademickich dywagacji, teologicznych subtelności i intelektualnego pedantyzmu. A bez takiego dialogu, mówi Küng, nie ma pokoju między religiami, zaś bez pokoju między religiami nie ma i pokoju między narodami świata.

## **O. Stanisławska: Czy słowa te można odnieść i do Bośni?**

**A. Silajdžić:** W tradycyjnym wzorcu historycznym Bośni i Hercegowiny mieszały się różne kultury i różne religie - od podwórka, na którym bawią się dzieci, po fabrykę, gdzie ludzie pracują obok siebie. A jednak ludzie nie znali się tu dostatecznie. Być może dzisiejsza tragedia Bośni wynika właśnie ze zbyt długiego milczenia i braku dynamicznego dialogu. Komunizm, a potem zachodni styl życia przyniosły powierzchowne mieszanie się. Powierzchnowe, bo oparte na ignorancji. Nikt nie prowadził na przykład poważnych studiów nad socjologią religii - pisano tylko to, co służyło komunistycznej ideologii. Wszelkie różnice tuszowano - ale tuszowano powierzchownie. Stąd możliwe były tak negatywne emocje, jakie w straszliwy sposób przejawiały się na przykład u młodych Serbów, którzy mordowali Muzułmanów... Niedostateczna znajomość innej wiary cechowała również teologów wszystkich naszych wyznań. Potrafię przytoczyć na przykład tylko jedną pracę katolickiego teologa poświęconą islamowi - to znakomita rozprawa Tomislava Jablanovicia o podstawach islamskiej apologetyki...



Sarajewo - trwają prace przy remoncie meczetu  
Fot. Jan Piekło

### *Nadzieja dla Bośni?*

**O. Stanisławska:** Uważa Pan, że dziś rodzi się nadzieja na dialog?

**A. Silajdžić:** W wielu krajach, i to nawet w niektórych krajach muzułmańskich (przede wszystkim w Egipcie i krajach Maghrebu), zwolennicy ekumenizmu zrozumieli wagę dialogu. Wciąż dostaję zaproszenia na międzywyznaniowe kongresy. Powstają liczne instytucje, których celem jest dialog. Na przykład w Paryżu Egipcjanin, doktor Abdel Amer, kieruje Stowarzyszeniem na Rzecz Dialogu Między Chrześcijanami i Muzułmanami - wychodząc z założenia, że nie spotykają się systemy, ale ludzie, którzy je przyjęli...

Niestety w Bośni pozostaliśmy pod tym względem w tyle. Nie istnieje u nas ani jedna instytucja, która zajęłaby się dialogiem międzyreligijnym. Muszę przyznać, że niegdyś byłem większym optymistą. Dziś jest mi trudniej, ale wciąż mam nadzieję. Są ludzie skłonni do dialogu i we Wspólnocie Islamskiej, i w Kościele katolickim, i choć nie mamy kontaktu z Kościołem prawosławnym, wierzę, że i tam muszą istnieć zwolennicy porozumienia.

Dialog jest jednak potrzebą zasadniczą. Sądzę, że oparte na dialogu spotkanie między muzułmanami a chrześcijanami będzie mieć decydujący wpływ na los tej ziemi, przyszłej - i jeśli Bóg pozwoli, demokratycznej - Bośni. Musimy wejść na drogę dialogu, który wyszedłby poza problemy nękające naszych przodków i uwzględnił wszystkie te przejawy religijności, które czynią z naszego społeczeństwa autentyczny wzorzec wielokulturowości i wielowyznaniowości.

Trzeba mieć wolę wspólnego życia z drugim człowiekiem, umieć psychicznie wejść w jego świat, pozostając przy tym wiernym własnej duchowej i kulturowej tradycji. Dobrze poznać drugiego człowieka - jego język, kulturę, historię, jego pragnienia i nadzieje. Nie po to, aby go zmienić, ale by go poznać, nie po to, aby przekonać go do swojego światopoglądu, ale po to, aby zrozumieć jego światopogląd. Trzeba zająć się sprawami, z którymi borykają się dzisiejsi muzułmanie, katolicy, prawosławni i żydzi, wyjść od człowieka, który żyje tu dzisiaj. Dialog musi się toczyć w konkretnej perspektywie, to znaczy na poziomie egzystencjalnym człowieka żyjącego w Bośni i Hercegowinie, zajętego konkretnymi problemami własnego przetrwania i przetrwania państwa.

**O. Stanisławska:** Czy w przetrwaniu owego państwa religie mają swą rolę do odegrania?

**A. Silajdžić:** Naszym wielkim problemem jest zaprzęgnięcie religii w służbę nacjonalistycznej polityki. Należę od dawna do nielicznych, którzy próbują proponować coś innego. W myśl zasad Rewolucji Francuskiej religia powinna być oddzielona od państwa. Aby mogła oddziaływać na życie człowieka poza polityką, powinny istnieć w społeczeństwie dwa osobne systemy - instytucje religijne i polityczne, nie zaś jeden, obierający drugi za narzędzie. Życie bez religii nie jest możliwe - ale religii trzeba autonomii.

Muzułmanie w Bośni stanęli bowiem przed wielkim dylematem. Gwałtownie zaczęli szukać własnej tożsamości. Za późno jednak na to, by konstruować nasz własny nacjonalizm oparty na religii, na wzór nacjonalizmów serbskiego i chorwackiego, które powstały w końcu XIX wieku. To może się skończyć tylko katastrofą dla Bośniaków, rozpadem kraju. Musimy rozwinąć wspólną, szerszą tożsamość, która nikogo nie będzie z góry wykluczać. I jeśli nie zbudujemy jej my, muzułmanie, nikt jej nie zbuduje.

---

(\*) Litery a.s. po imieniu Muhammada są skrótem od tradycyjnej formuły *aleihi salam*, "Pokój z nim". Cytaty z Koranu w tłumaczeniu Józefa Bielawskiego.



# Jan Paweł II, Odwaga i przebaczenie

## Przemówienie do przedstawicieli władz Bośni-Hercegowiny

1. Wasz region jest od wieków terenem spotkania - i nierzadko starć - między Wschodem i Zachodem. Od dawna realizowana jest tu w praktyce idea współistnienia różnych kultur, które wzbogaciły wasz region - każda na swój sposób - swoimi wartościami. W Bośni i Hercegowinie współżyją ludy południowosłowiańskie, zjednoczone pochodzeniem, ale podzielone przez historię. W waszej stolicy na przykład wznoszą się ku niebu katedra katolicka, katedra prawosławna, muzułmański meczet i żydowska synagoga.



Liturgia eucharystyczna na stadionie Kosevo, Sarajewo, 13 kwietnia 1997

Te cztery budowle to nie tylko miejsca, w których wierzący w jednego Boga wyznają swoją wiarę; mówią one również o tym, jakiego typu społeczeństwo pragną budować mieszkańcy tego regionu: społeczeństwo pokoju, którego członkowie uznają Boga za jedyne Pana i Ojca wszystkich.

2. Powiedziałem już kiedyś - i powtarzam to dzisiaj - że Sarajewo - miejsce, w którym spotykają się i ścierają różne kultury, religie i narody, może być uważane za miasto-symbol naszego stulecia. Właśnie tutaj rozpoczęła się w 1914 r. pierwsza wojna światowa; tutaj druga wojna światowa była szczególnie zacięta; tutaj wreszcie, u schyłku obecnego stulecia, ludność przeżyła kilka długich lat w atmosferze lęku i grozy, otoczona zniszczeniem i śmiercią.

Dzisiaj, po tak długich cierpieniach, Bośnia i Hercegowina podjęła nareszcie wysiłek budowania pokoju. Jest to przedsięwzięcie niełatwe, jak pokazuje doświadczenie miesięcy dzielących nas od zakończenia wojny. Jednakże przy współudziale społeczności międzynarodowej pokój jest możliwy - więcej, jest konieczny. W perspektywie historycznej Sarajewo i cała Bośnia i Hercegowina, jeśli zdołają utrwalić w pokoju swoje struktury instytucjonalne, będą mogły stać się na końcu naszego stulecia wzorem współistnienia różnych społeczności dla wielu innych krajów w Europie i na świecie, które doświadczają podobnych trudności.

3. Metodą, którą należy zawsze stosować w rozwiązywaniu problemów powstających na tej trudnej drodze, jest dialog oparty na umiejętności słuchania drugiej strony i na wzajemnym szacunku. Metoda dialogu, akceptowana coraz powszechniej, choć nie bez trudności, wymaga bowiem od jego uczestników lojalności, odwagi, cierpliwości, wytrwałości. Trud takiego spotkania z pewnością przyniesie obfite owoce. Dzięki niemu zagoją się pomału rany po straszliwych doświadczeniach wojennych i bardziej realistyczna stanie się nadzieja na godną przyszłość dla wszystkich społeczności, które zamieszkują razem ten region.

Dialog musi być oparty na poszanowaniu równości praw, zagwarantowanej poszczególnym obywatelom przez odpowiednie prawodawstwo, wolne od wszelkich preferencji czy dyskryminacji. Trzeba podjąć usilne działania, aby

zapewnić wszystkim pracę odpowiadającą ludzkiej godności, która umożliwia odrodzenie i rozwój; aby uchodźcy z wszystkich części Bośni i Hercegowiny mogli skorzystać z prawa do odzyskania domów, które musieli porzucić podczas wojennej zawieruchy. Równe prawa trzeba też przyznać wspólnotom etniczno-religijnym. Bośnia i Hercegowina jest mozaiką kultur, religii i narodowości, które - jeśli ich różnorodność zostanie uznana i otoczona ochroną - będą mogły wzbogacić swoimi "darami" wspólne dziedzictwo całego społeczeństwa waszego kraju.

4. Budowa prawdziwego i trwałego pokoju to wielkie zadanie, wymagające zaangażowania wszystkich. Wiele zależy oczywiście od tych, którzy sprawują odpowiedzialne funkcje publiczne. Jednakże przyszłość pokoju, choć w wielkiej mierze uwarunkowana jest rozwiązaniami instytucjonalnymi, którym trzeba nadać właściwy kształt w drodze szczerego dialogu i z poszanowaniem zasad sprawiedliwości, zależy w takiej samej mierze od odrodzenia się solidarności między ludźmi. Tę właśnie wewnętrzną postawę należy kultywować zarówno w samej Bośni i Hercegowinie, jak i w jej relacjach z krajami ościennymi i ze wspólnotą narodów. Jednakże postawa ta może się ukształtować jedynie na fundamencie przebaczenia. Po straszliwych doświadczeniach przelewu krwi i nienawiści budowla pokoju - aby była trwała - musi się opierać na odwadze przebaczenia. Trzeba umieć prosić o przebaczenie i przebaczyć!

# ANEKS

## Kalendarium konfliktu na Bałkanach



### 1989-1990

Po zdławionych przez jugosłowiańską policję demonstracjach Albańczyków Kosowo utraciło status autonomicznej prowincji i zostało podporządkowane bezpośredniej administracji Belgradu.

### Czerwiec 1991

Chorwacja i Słowenia ogłosiły deklarację niepodległości i wystąpiły z federacji Jugosławii, w odpowiedzi armia jugosłowiańska zaatakowała Słowenię i wycofała się po 10 dniach wojny.

### Lipiec 1991

Starcia w Chorwacji pomiędzy wspieranymi przez regularną armię jugosłowiańską Serbami a Chorwatami przerodziły się w regularną wojnę.

### Luty 1992

Niepodległość ogłosiła Bośnia i Hercegowina, w odpowiedzi bośniaccy Serbowie utworzyli własne państwo; rozpoczęły się walki.

### Kwiecień 1992

Bośniaccy Serbowie rozpoczęli oblężenie Sarajewa, stolicy Bośni i Hercegowiny.

### Maj 1992

ONZ nałożyła sankcje na pozostałe w związku federacji Jugosławii Serbię i Czarnogórę oskarżając je o sprowokowanie wojny w Chorwacji i Bośni.

### Styczeń 1993

Międzynarodowi mediatorzy Cyrus Vance i lord David Owen ogłosili plan podziału Bośni i Hercegowiny na 10 prowincji, za podstawę jego opracowania przyjęli aktualną mapę etniczną; plan został zaakceptowany przez rząd Bośni, odrzucili go bośniaccy Serbowie.

### **Marzec 1993**

Na terenie bośniackiej Hercegowiny rozpoczęły się walki muzułmańsko-chorwackie; bośniaccy Chorwaci również zapragnęli wykroić w Bośni swoje własne państwo tzw. Herceg-Bośnię.

### **Kwiecień 1993**

Rada Bezpieczeństwa ONZ ogłosiła sześć "stref bezpieczeństwa" dla bośniackich Muzułmanów: Sarajewo, Tuzla, Žepa, Gorazde, Bihać i Srebrenica.

### **Lipiec 1993**

W Genewie zostało osiągnięte wstępne porozumienie w sprawie utworzenia na terenie Bośni i Hercegowiny trzech państw etnicznych: serbskiego, chorwackiego i muzułmańskiego; rozmowy załamały się po zerwaniu przez bośniackich Serbów rozejmu.

### **Luty 1994**

Ponad 60 osób zostało zabitych a około 200 rannych, kiedy pocisk z moździerza trafił w targowisko w centrum Sarajewa; w parę dni później NATO nakazało bośniackim Serbom wycofanie ciężkiej artylerii ze wzgórz okalających Sarajewo, w przypadku nie wypełnienia warunków ultimatum Sojusz zagroził im atakami lotniczymi.

### **Marzec 1994**

Rząd bośniacki i przedstawiciele bośniackich Chorwatów zaakceptowali wynegocjowane przez Amerykanów porozumienie pokojowe kończące wojnę muzułmańsko-chorwacką.

### **Maj 1994**

Ogłoszony został kolejny międzynarodowy plan pokojowy zakładający podział Bośni i Hercegowiny; zaakceptował go rząd bośniacki, ale odrzucili bośniaccy Serbowie.

### **Maj 1995**

W odpowiedzi na zignorowanie przez bośniackich Serbów ultimatum NATO dotyczącego wycofania ciężkiej artylerii z okolic Sarajewa, samoloty Sojuszu zaatakowały serbskie cele militarne na terenie Bośni; Serbowie zaś zbombardowali "strefy bezpieczeństwa", w Tuzli w wyniku ataku moździerzowego zginęło ponad 70 osób.

### **Czerwiec 1995**

Bośniaccy Serbowie zaatakowali i zdobyli Srebrenicę, ogłoszoną przez ONZ "strefą bezpieczeństwa".

## **Lipiec 1995**

Bośniaccy Serbowie zaatakowali i zdobyli kolejną oenzetowską strefę bezpieczeństwa - Žepę, którą w popłochu opuściły tysiące mieszkańców.

## **Sierpień 1995**

Armia chorwacka przeprowadziła błyskawiczną kontrofensywę i zajęła znajdujące się dotąd w rękach Serbów: Krajinę i część Sławonii; tysiące Serbów uciekło przed Chorwatami do Serbii; amerykańska dyplomacja rozpoczęła prace nad nowym planem pokojowym dla Bośni i Hercegowiny; samoloty NATO zaatakowały serbskie cele wojskowe na terenie Bośni.

## **Wrzesień 1995**

Negocjatorzy uzgodnili podział Bośni i Hercegowiny na część chorwacko-muzułmańską oraz serbską tworzące jedno państwo; wojska muzulmańskie i chorwackie przeprowadziły kontrofensywę, odbijając z rąk Serbów część terytoriów na północy i zachodzie Bośni; NATO wstrzymało naloty po wycofaniu przez Serbów ciężkiej artylerii z okolic Sarajewa.

## **Listopad 1995**

W wyniku rozmów pokojowych (uczestniczyli w nich prezydenci Chorwacji, Serbii i Bośni) w wojskowej bazie amerykańskiej w Dayton, w stanie Ohio w USA osiągnięte zostało porozumienie zakładające powstanie federacji muzulmańsko-chorwackiej i republiki serbskiej w Bośni i Hercegowinie oraz włączenie do Chorwacji pozostającej w rękach serbskich części Sławonii; Trybunał Międzynarodowy oskarżył przywódców bośniackich Serbów Radovana Karadžicia i generała Ratko Mladicia o zbrodnię ludobójstwa.

## **Jesień 1997**

W stolicy Kosowa Prisztinie demonstrowali albańscy studenci domagając się przywrócenia albańskiego szkolnictwa, serbska policja brutalnie rozpędziła manifestantów. Straciła na popularności pozytywistyczna koncepcja pokojowego oporu i budowy niezależnego społeczeństwa w podziemiu, lansowana przez dotychczasowego duchowego przywódcę Albańczyków Ibrahima Rugovę, a coraz większe poparcie zaczęła uzyskiwać posługująca się hasłami nacjonalistycznymi UCK (Armia Wyzwolenia Kosowa).

## **1998**

UCK zainicjowała działania zbrojne wymierzone w mieszkających w Kosowie Serbów i doprowadziła do powstania kontrolowanego przez bojowców UCK tzw. "wyzwolonego terytorium" na obszarze Drenicy; armia i policja jugosłowiańska rozpoczęła kontrofensywę przeciw partyzantom paląc domy i ostrzeliwując wioski, doszło do starć na granicy albańsko-serbskiej; UCK ogłosiła powszechną mobilizację oraz "stan wojenny", w lasach schroniły się tysiące uchodźców.

## **24 marca 1999**

Po niepowodzeniu zainicjowanych przez polityków UE w zamku Rambouillet we Francji rozmów pokojowych pomiędzy Serbami a przywódcami kosowskich Albańczyków samoloty NATO rozpoczęły bombardowanie celów strategicznych w Jugosławii; Rosja zerwała współpracę z NATO. ONZ uznała interwencję NATO za uzasadnioną.

## **3 czerwca 1999**

Jugosławia przyjęła plan pokojowy przedstawiony przez społeczność międzynarodową, który przewidywał: stacjonowanie w Kosowie międzynarodowych sił bezpieczeństwa pod auspicjami ONZ, położenie kresu przemocy i wycofanie armii jugosłowiańskiej, rozbrojenie UCK, zapewnienie uchodźcom bezpiecznego powrotu do domu, ustanowienie tymczasowego zarządu prowincji zgodnie z rezolucją ONZ oraz autonomię dla Kosowa z "zachowaniem terytorialnej integralności Jugosławii".

## **10 czerwca 1999**

Armia jugosłowiańska rozpoczęła wycofywanie się z Kosowa a NATO zaprzestało ataków. Zakończyła się pierwsza w Europie wojna w obronie praw człowieka.

Opracował: **Jan PIEKŁO**

## Noty o Autorach

**Urs Altermatt** - urodził się w 1942 roku w Szwajcarii, studiował historię, politologię i socjologię w Bernie, Fryburgu (Szwajcaria) i Berlinie. Od 1980 roku jest profesorem historii najnowszej na Uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria); w latach 1973-1980 wykładał na uniwersytecie w Bernie, i różnych zagranicznych uniwersytetach: na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie (1991), na Uniwersytecie Ekonomicznym w Budapeszcie (1992), na Uniwersytecie Harvarda w USA (1976/77) i w Collegium w Budapeszcie (1994/95). Liczne publikacje opisujące przemiany świadomości społecznej przyniosły mu międzynarodowe uznanie. Wyróżniona nagrodą i przetłumaczona na wiele języków zachodnio- i wschodnioeuropejskich książka "Katolicyzm a nowoczesny świat" ukazała się w roku 1995 w wydawnictwie ZNAK.

**Martin Bell** - rozpoczął pracę dziennikarską w zespole redakcyjnym wiadomości BBC w roku 1965. Jako reporter odwiedził 90 krajów świata, zdawał relację z 11 wojen: w Wietnamie, na Bliskim Wschodzie (w 1967 i 1973 roku), Angolii, Rodezji, Biafrze, Nikaragui, Salwadorze, Zatoce Perskiej, Chorwacji i Bośni. W latach 1978-1989 był korespondentem BBC w Waszyngtonie. W wyborach parlamentarnych w roku 1997 został niezależnym posłem do Izby Gmin.

**Jan Piekło** - krakowski dziennikarz, absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, zaczynał karierę w "Gazecie Krakowskiej". Po 13 grudnia 1981 przez sześć lat pracował jako nauczyciel i terapeuta w Klinice Psychiatrii Dzieci i Młodzieży; publikował i pracował w prasie podziemnej. Po 1989 r. pracował w "Tygodniku Powszechnym", relacjonował wydarzenia rewolucji w Rumunii. W 1990 podjął staż zawodowy w USA, w teksaskim dzienniku "Fort Worth Star-Telegram". Obecnie "wolny strzelec"; swoje reportaże z targanej wojną Jugosławii publikował m.in. w "Tygodniku Powszechnym", "Przekroju", nowojorskim "Nowym Dzienniku", oraz prasie amerykańskiej i szwedzkiej. Wydał książki "Epitafium dla Jugosławii" i "Moje odkrywanie Ameryki". Jest prezesem krakowskiego oddziału i członkiem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

**Adnan Silajdžić** - wywodzi się z głęboko wierzącej muzułmańskiej rodziny bośniackiej, z której pochodzi także były premier Bośni. Wychował się w Sarajewie, gdzie ukończył najpierw Medresę Gazi-Husrevbega, najstarszą muzułmańską szkołę teologiczną w Europie, a zarazem najstarszą szkołę na Bałkanach, obchodzącą w tym roku 460-lecie swego istnienia, a następnie Fakultet Nauk Islamskich. Podczas studiów teologicznych skupił się głównie na historii religii, szczególnie na dziejach judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Studia podyplomowe odbył na Fakultecie Katolickim w Zagrzebiu. Rok akademicki 1991 spędził w Paryżu, pogłębiając specjalizację w tamtejszym Instytucie Katolickim. Obecnie wykłada historię religii na Fakultecie Nauk Islamskich w Sarajewie.

**Stefan Wilkanowicz** - urodzony w 1924 roku w Warszawie, odbył studia techniczne na Politechnice Warszawskiej i filozoficzne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pracował jako inżynier, nauczyciel i dziennikarz w redakcji "Tygodnika Powszechnego" i "Znaku" (redaktor naczelny w latach 1978-1994). Przez szereg lat członek Papieskiej Rady ds. Świeckich. Obecnie

prezes Fundacji Kultury Chrześcijańskiej "Znak", wiceprzewodniczący Krajowej Rady Katolików Świeckich i wiceprzewodniczący Międzynarodowej Rady Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka. Wydał książkę *Dlaczego i jak wierzę*.